POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. *Dnia 21-go czerwca 1941r.* **Rok III. Nr. 25**

Czarna godzina książki polskiej

Leży przede mną "Wykaz książek wycofanych przez Niemców z bibliotek i czytelń publicznych" w kraju. Na 49-u kartkach mieści się ten długi spis 1500 autorów, których objęła potworna "czystka." Jeśli się zważy, że niektórzy pisarze reprezentują w tym spisie pod jedną pozycją kilkadziesiąt dzieł (n.p. z Kraszewskiego usunięto 33 dzieła, z Żeromskiego 24, przy niektórych twórcach czytamy lakoniczną notatkę "wszystkie dzieła")—to chcąc dojść do ogólnej ilości usuniętych książek, trzeba cyfrę 1,500 co najmniej podwoić, jeśli nie potroić. Dochodzimy w ten sposób do niesłychanej cyfry kilku tysięcy (cztery do pięciu) dzieł, które padły ofiarą jednorazowej i powszechnej konfiskaty.

Jest to niesamowity i potworny dokument shańbienia kultury wieku dwudziestego. Właściwie warto by go w całości wydać, by suchą wymową faktów świadczył przed wolnymi ludami, do jakiego stopnia barbarzyństwa zdolny jest "naród filozofów i myślicieli." Niech by pozostał dla przyszłości jako świadectwo współczesnego zdziczenia, wobec którego średniowieczne palenie ksiąg czy niszczenie księgozbiorów w dobie walk religijnych w XVI i XVII wieku wydaje się dziecinną igraszką.

Historia kultury polskiej zna okresy walki i prześladowania książki polskiej w wieku XIX. Ale czymżeż są procesy wytaczane Ossolineum w pierwszej połowie tego wieku przez policję austriacką o wydawanie druków emigracyjnych czy nawet brutalna walka z drukiem polskim na ziemiach litewskich, prowadzona przez Murawiewa po upadku powstania styczniowego w porównaniu z rozmiarami tej, na taką skalę zakrojonej, z takim bezlitosnym pedantyzmem i systematycznością prowadzonej przez hitleryzm walki z książką polską.

Właściwie tu już nie książka jest celem samym w sobie niemieckiej furii. Poprzez książkę uderza okupant w samowiedzę narodową, której chce pozbawić Polaków. Stara się bezlitośnie zniszczyć w świadomości młodego pokolenia związek z przeszłością historyczną narodu, z jego tysiącletnią kulturą. Przedmiotem tej systematycznej zagłady staje się życie polskie w teraźniejszości i przeszłości zaklęte w kształt książki. Historia i literatura polska, wysiłek zbrojny i gospodarczy, geografia, jak i myśl polityczna kraju mają być unicestwione w świadomości narodu. Poprzez książkę zaborca usiłuje ugodzić w najistotniejsze pokłady polskości, zniszczyć nawarstwienia kultury, zdobyte wysiłkiem wielu pokoleń.

Dumni mogą być polscy historycy, przeciwko którym rozszalała się chyba najbardziej furia germańskiego niszczenia. Można by się bowiem zapytać, kogo to jeszcze brakuje na tej długiej liście polskiego dziejopisarstwa wyrugowanego z czytelń. Stary Kubala (11 dzieł) czy Szajnocha figuruje tu obok młodszego Skałkowskiego czy Konopczyńskiego, przedstawiciele krakowskiej szkoły historycznej z Szujskim i Bobrzyńskim na czele obok ich antagonistów z Aszkenazym czy Korzonem. Naliczyłem blisko 30 nazwisk historyków. Ale rzecz znamienna dla całej tej czystki: Niemcy nie ograniczyli się tylko do książek czysto naukowych. Przedmiotem może jeszcze większej zaciekłości stały się książki popularno-historyczne. I znów można by wymienić długą listę z Śliwińskim, Grabcem, Szpotańskim na czele. Cel jest jasny: idzie o podcięcie u podstaw czytelnictwa mas, o uderzenie w podstawy lektury historycznej młodzieży.

Ale nie tylko polityczna przeszłość Polski stała się przedmiotem proskrypcji. W równym stopniu objęła ona i kulturalne dzieje narodu. Zniknęły więc "Dzieje kultury polskiej" Brucknera, książka zbiorowa "Polska jej dzieje i kultura," usunięto prace W. Łozińskiego, Bystronia, szkice o współczesnym obliczu polskiego życia kulturalnego Dębickiego, czy Chwistka. Zwłaszcza książki ukazujące wielkie szlaki rozwojowe kultury polskiej jak Chołoniewskiego "Duch dziejów Polski" czy Górskiego "Ku czemu Polska szła" musiały zniknąć z półek czytelń. Miarą zaś dokładności tej niemieckiej roboty może być fakt, że nie zapomniano nawet o drobnej odbitce Heydla "Myśli o kulturze."

Chcąc nadwątlić siłę duchowej odporności żywiołu polskiego wyrzucono książki, które przypomnieniem walk toczonych z zaborcami w przeszłości mogły by nasuwać w doborze metod odporu wiele aktualnych podobieństw. I tak usunięto St. Krzemińskiego "25 lat Rosji w Polsce," książkę, która już raz była zakazana w zaborze rosyjskim. Wyrzucono "Wspomnienia z czasów szkolnictwa rosyjskiego" nauczyciela warszawskiego Wołyńskiego. Tak to Niemcy boją się nawet wspomnień walk toczonych w XIX wieku w zaborze rosyjskim. W chwili zaś, kiedy nie ma na ziemiach naszych polskiej szkoły, nie ma i racji bytu książka Nawroczyńskiego "Polska myśl pedagogiczna."

Wszystko w ogóle co w tytule ma słowo Polska znikło z czytelń. Przyjąwszy takie kryterium nie wiele pozostało z dawnej jak i nowszej powieści czy poezji. Przedmiotem szczególnych poszukiwań stała się powieść historyczna. Kraszewski czy Kossak-Szczucka, Sienkiewicz czy Przyborowski, Reymont czy Gąsiorowski—wszyscy bez względu na klasę osiągnięć artystycznych czy czas twórczości zostali dosięgnięci. Cały rozległy świat poezji polskiej od Kochanowskiego poprzez twórczość wielkich romantyków i ich epigonów, poprzez pracę Asnyka, Konopnickiej, Wyspiańskiego aż do współczesnych—Słoński, Staff, Słonimski, Wierzyński, Światopełk-Karpiński—został tu gruntownie przetrzebiony. Równie bolesne luki są wśród prozaików: Prus i Strug, Sieroszewski i Perzyński, Kuncewiczowa i Gojawiczyńska, Kaden i Iwaszkiewicz, Nowaczyński i Wańkowicz, Makuszyński i Ossendowski, Morcinek i Wiktor—wszyscy oni, jeden mniej drugi więcej, stali się przedmiotem rugów.

Nie uchronili się od nich historycy literatury: padły ofiarą zbiorowe wypisy "Sto lat myśli polskiej," świetne osiągnięcie warszawskich historyków literatury doby pozytywistycznej. Zniknęli zarówno Piotr Chmielowski, jak Ignacy Chrzanowski, bruździły Niemcom tak samo zarysy dziejów literatury Potockiego jak Czachowskiego czy nawet studia literackie Lorentowicza.

Można by napisać osobne, jakże niestety bogato udokumentowane studium na temat spustoszeń jakie poczynili Niemcy wśród literatury dla młodzieży i dzieci. Nie ma w wypożyczalniach już najbardziej ulubionych autorów z dzieciństwa, zarówno pokolenia starszego, jak i współczesnego. Można by się znów zapytać, kogo nie ma na tej ponurej liście od Bełzy i Lewickiej do Niewiadomskiej i Korczaka.

Ale Niemców drażni nie mniej od historii i literatury polskiej, także i krajobraz polski. Wszystko więc, co dotyczy geografii ziem polskich, zwłaszcza krajoznawstwa zostało skrzętnie wyłowione. Na indeksie znaleźli się zasłużony promotor polskiego krajoznawstwa A. Janowski, jak i czasopismo "Ziemia," geograf P. Sosnowski, jak i zapaleńcy współcześni, regionaliści, odkrywcy piękna ziem polskich, Patkowski, Ostrowski, Koseła.

Z nimi i z podręcznikami o Polsce współczesnej weszliśmy w żywą teraźniejszość. Ona nie mniej niż przeszłość narażona jest na ołówek cenzora z Gestapo. Wytrzebić z pamięci pokolenia wspomnienie niepodległego państwa polskiego lat 1918-1939, jego myśli politycznej, jego siły wojskowej i jego osiągnięć gospodarczych jest celem tych szatańskich zamysłów. Cenzor hitlerowski z równą bezwzględnością tropi wszystkie kierunki politycznej myśli polskiej. Równie nienawistni są mu Dmowski jak Piłsudski, Daszyński jak Grabski, Sikorski jak Korfanty. I co może jeszcze znamienniejsze, że nie cofa się przed konfiskatą pism wyraźnie germanofilskich. Padają jego pastwą nie tylko pamiętniki starego ramola konserwatywnego Hutten-Czapskiego, ale nawet pisma jedynego może w Polsce ideowego germanofila Wł. Studnickiego. By zniszczyć ślady historii polskiego życia politycznego ostatnich lat usuwa się tak samo książkę polityka obozu narodowego Seydy "Polska na przełomie dziejów," jak pracę publicysty i historyka socjalistycznego H. Swobody "Pierwsze piętnastolecie Polski Niepodległej." Tępi się całą bieżącą publicystykę polityczną: obojętne, czy to będzie Hołówko czy Giertych, Kruczkowski czy Skwarczyński, czy nawet gdy to będzie książka Goetla "Pod znakiem faszyzmu" nie ma dla nich wszystkich miejsca w życiu polskim pod jarzmem okupanta.

Tak samo proskrypcji ulegają wszystkie prace o Rosji sowieckiej: zarówno szkic Srokowskiego o elicie bolszewickiej jak rzecz Baczyńskiego o literaturze sowieckiej czy reportaże Janty-Połczyńskiego lub wrażenia R. Dybowskiego.

Wściekłość niemiecką wzbudza również wszystko co odnosi się do życia gospodarczego Polski współczesnej. Zniknął więc tak popularny "Mały rocznik statystyczny," pisma A. Krzyżanowskiego, R. Rybarskiego, a zwłaszcza wszystkie prace o Gdyni i Śląsku.

Ze szczególną zaciekłością tropi niemiecki urząd propagandy polską literaturę o morzu. 22 książki Conrada-Korzeniowskiego podwójnie znienawidzonego przez Niemców, zarówno za tematykę dzieł, jak i związki z Anglią, prace historyczne Sobieskiego, Czołowskiego, Huberta, Chołoniewskiego, szkice krajoznawcze Bernarda Chrzanowskiego, prace o znaczeniu gospodarczym wybrzeża Borowika i Strasburgera, szkice Zaruskiego—oto kilka ważniejszych pozycji z usuniętych rzeczy morskich.

Ta sama pasja zwraca się przeciwko polskiej literaturze o Śląsku. Wszystko jedno czy będzie to publicystyka Korfantego czy wspomnienia z powstań śląskich Horoszkiewicza lub Mielżyńskiego, czy niewinne prace historyczne Bara lub Szymiczka—wszystko to jest po równi znienawidzone.

Tym bardziej wszystko co się wiąże z walkami zbrojnymi o niepodległość, z wojskiem—skazane zostało na banicję. Można by tu wypisać olbrzymi rejestr, w którym by znalazła się tak historia wojskowości polskiej (prace Kukiela), jak wszystko co dotyczy Legionów roku 1914, obrony Lwowa, powstania wielkopolskiego, kampanii r. 1920.

Uwagę specjalną zwrócono na książki o lotnictwie. Wystarczy tytułem przykładu powiedzieć, że n.p. usunięto jednego tylko autora Janusza Meissnera 17 książek. To jeden z wtórnych refleksów niemieckiej pasji wobec sukcesów polskiego lotnictwa w tej wojnie.

* * *

Stoimy w obliczu niszczenia książki polskiej, jakiej nie znają dzieje kultury polskiej, jakiego nie znają w ogóle całe dzieje kultury europejskiej. Nie mamy niestety w tej chwili żadnych środków przeciwdziałania temu, co się dokonywa w kraju. Ale mamy pewne możliwości naprawienia szkód tutaj na emigracji. Możliwości są to dwojakiego rodzaju.

Najpierw niedopuszczalne są w tej chwili jakiekolwiek porachunki z pisarzami. Jakże na tle niszczenia w kraju pism Żeromskiego, gdzie usuwa się nawet drobny, szkolny szkic biograficzny o twórcy "Wiatru od morza" pióra Adamczewskiego, wygląda tutaj na emigracji nieodpowiedzialna i lekkomyślnie wszczęta próba niewczesnego "likwidowania" tego pisarza. Gdy Niemcy tępią tak książki polskie, że usuwając Sienkiewicza wyrzucają równocześnie próbę podważenia jego powieści historycznych—zdobądźmy się na zupełną solidarność i zawieszenie wszelkich niewczesnych rewizjonizmów.

Ale to jest negatywny tylko środek. Mamy w ręku i pewne pozytywne. Powinniśmy spotęgować produkcję wydawniczą. Jej rozpęd w pierwszych miesiącach naszego pobytu tutaj był silny, dziś słabnie, bo i w obozach żołnierskich pęd ku książce polskiej zdaje się słabnąć. W pewnej mierze jest to może wynik wzrostu zainteresowań książką angielską, co jest zrozumiałe, słuszne i radosne. Ale w dużym stopniu jest to wynik także słowiańskiego słomianego zapału.

Tymczasem książka polska znalazła się w takim niebezpieczeństwie jak nigdy w dziejach. I dlatego wzmożenie jej produkcji tutaj jest interesem i potrzebą ogólno-narodową. Nie zapominajmy, że z książek wydanych tu na emigracji następujące dzieła zostały już usunięte w kraju: Adamskiego "Polski śpiewnik narodowy," Dynowskiej "Polska w zwyczaju i obyczaju," Kisielewskiego "Ziemia gromadzi prochy," Prusa "Placówka," Sienkiewicza "Trylogia," Żeromskiego "Wiatr od morza."

Z wszystkich rozproszonych środowisk polskiej emigracji, z Bliskiego Wschodu, Szwajcarii, Francji nieokupowanej, Węgier dochodzą wiadomości o wielkim głodzie książki polskiej. W tej chwili z powodów trudności natury komunikacyjnej nie mamy możliwości całkowitego zaspokojenia tego głodu. Jest naszym obowiązkiem dołożyć starań, by głód ten nie był zjawiskiem przejściowym, lecz stałym. Od wydawców mamy prawo oczekiwać jak najskrupulatniejszego wywiązywania się wobec autorów żyjących w tej chwili pod obuchem okupacji i uczciwego kalkulowania cen księgarskich. Od czytelników mamy prawo spodziewać się poparcia dobrej książki.

Znalazła się ona dzisiaj w najwyższym niebezpieczeństwie. Cierpi prześladowanie, podlega zniszczeniu razem z całą kulturą polską—ona, która jest tej kultury świadectwem, rezerwoarem, głosem żywym, brzmiącym poprzez czasy i pokolenia.

Adam Ordęga

"Przed rokiem widziałem na Rusi Przykarpackiej palenie książek z bibliotek szkolnych, parafialnych, gimnazjalnych, miejskich i prywatnych. Okazało się, że nawet w odległych wsiach górskich były całe złoża książek nagromadzonych przez długie pokolenia czytelników. Książki paliły się niechętnie, węgliły się z wierzchu i gasły. Klnąc na czym świat stoi, oprawcy wieszali je otwarte na żerdziach nad płomieniem, aby wypalić je od środka. Patrząc godzinami na te czynności uświadomiłem sobie zasadniczą incompatibilitas *(niewspółmierność) starej książki z* Neuordnung. *Stara książka, wszystko jedno jaka, zawsze zawiera w sobie inną konwencję obyczajową, inny porządek świata według wartości, niż ten, jaki chciałby nam narzucić* "Der Teppichbeisser." *W wyniku tej powszechnej krucjaty przeciw książce, Europa Wschodnia może wyjść z wojny zupełnie oczyszczona z wszelkiej tradycji przekazywanej przy pomocy druku. W takich niezwykłych okolicznościach ostatnie książki polskie ocalone z pogromu mogą być powołane do roli większej, niż autor i wydawca mogli przewidzieć."*

Z listu prywatnego

"15-*go lipca* 1940, *w rocznicę Grunwaldu księgarnie litewskie w Wilnie wystawiły w oknach wielką (litewską) reprodukcję obrazu Matejki przedstawiającego n.b. "Zwycięstwo Witolda" i tegoż dnia spędzone z całego miasta wozy ciężarowe, rozpoczęły ładować olbrzymie składy książek polskich, wysyłanych do papierni na zmielenie. Wielkie składy hurtowe księgarstwa polskiego opróżniano przez tydzień cały, działano z pośpiechem, by nie została ani jedna książka dla szkół ludowych. Piękne wypisy, doskonałe arytmetyki, znakomite, w Wilnie wydane podręczniki przyrody, w setkach tysięcy egzemplarzy zabierano na wagi. Wywożono, natychmiast zalewano wodą, by coś nie zapobiegło zniszczeniu."*

Z listu prywatnego

Gdynia pod okupacją niemiecką*

Nie gorzej od Al Capone'a

Obozy koncentracyjne i zakładnicy oraz dziesiątki innych pozornie drobniejszych epizodów, wszystko to wskazywało wyraźnie, że życie w okupowanej przez Niemców Gdyni cechować będzie bezprawie.

Jak już w jednym z poprzednich artykułów wspomniałem, gospodarkę swą w Gdyni Niemcy rozpoczęli od masowego rabunku. Lecz zwyczajną grabież, niczym się nie różniącą od bandyckich napadów rozmaitych Al Capon'ów z Nowego Yorku czy Chicago—należy tu rozróżnić od "legalnego przejmowania" polskich ruchomości przez tak zwanych "powierników" ("*Treuhaenderów*") rekrutujących się z pośród gdyńskich i gdańskich członków partii hitlerowskiej.

W pierwszym przypadku najeźdźcy, tak cywile jak i żołnierze oraz policja jawnie kradli, co tylko się dało, tak z mieszkań prywatnych jak i sklepów. Zawsze rzekomo szukano broni, przy czym najczęściej podejrzewano o jej posiadanie . . . jubilerów i właścicieli innych cenniejszych przedsiębiorstw (jednego z jubilerów "rewidowano" w ciągu dwóch tygodni aż 12 razy). Zbyteczne dodawać, ile pierścionków, zegarków, papierośnic, aparatów fotograficznych i t.p. rzeczy ginęło w czasie tych "rewizji."

Widomym znakiem tych grabieży były w Gdyni przez długi czas ślady kolb i szabel na drzwiach frontowych większości mieszkań i sklepów. Mieszkań tych i sklepów nie miał kto otwierać, właściciele ich bowiem znajdowali się w obozach koncentracyjnych. Wdzierano się więc do nich przemocą. . . .

Niemcy później "wstydzili się" tych rabunków. "*Der Danziger Vorposten*," zaprzeczając jakoby to działo się na większą skalę, potwierdził jednak, że wydarzyło się "kilka takich godnych pożałowania incydentów," których sprawcy zostali rzekomo przykładnie ukarani, bo "pod rządami niemieckimi nie ma miejsca na bezprawia."

Nie przeszkadzało to jednak "*Treuhaenderom*" bezprawnie przejmować wszelką nieruchomość polską, poczynając od wielkich przedsiębiorstw portowych, a kończąc na maleńkich sklepikach kolonialnych i zakładach fryzjerskich. W ten sposób w ciągu czterech tygodni wywłaszczono większość przedsiębiorstw polskich, ci zaś z pośród kupców polskich, którzy z tej pierwszej fazy owego "legalnego" rabunku wyszli jako tako cało, żyli jednak pod groźbą, że lada chwila i na nich przyjdzie kolej. I, jak wiemy, nieco później przyszła. . .

Innym sposobem "legalnego" ograbiania Gdynian było zarządzenie obowiązkowego "zdeponowania" na ręce władz niemieckich obcych walut, złota, nawet zbiorów znaczków pocztowych i starych monet, wpłacania czynszów dzierżawnych i komornego do niemieckich banków, zadeklarowania wszelkich wierzytelności żydowskich, przewyższających kwotę 500 zł. . .

A potem przyszło rozporządzenie o spłacaniu zaległych podatków, należności Ubezpieczalni Społecznej i t.p. Równocześnie zaś "*Treuhaenderzy*," większych przedsiębiorstw oraz instytucji bankowych, znalazłszy się w posiadaniu tysięcy weksli, zaczęli żądać, by je wykupywano. Ponieważ już nikogo nie było stać na to—następowała nowa, pozornie legalna, sekwestracja polskich ruchomości i nieruchomości. Srodze zemściło się na Gdynianach to pozostawienie weksli, ksiąg podatkowych i innych na pastwę okupantów. A czasu było dosyć, by o tej sprawie wcześniej pomyślano. . . .

Nie pomyślano także o zabezpieczeniu olbrzymich zapasów żywności nagromadzonych w porcie. Sam byłem świadkiem, jak w okresie oblężenia Gdyni radzono rozmieścić wszystkie zapasy w kilkudziesięciu punktach całego miasta, by w krytycznym momencie można było wszystko rozdzielić pomiędzy mieszkańców Gdyni. Nie uwzględniono tej rady. Wszystkie zapasy, m.inn. ponad 10.000 tonn zboża, wpadły w ręce najeźdźcy. A w następstwie—już z pierwszym dniem okupacji niemieckiej do mieszkań gdyńskich zajrzało widmo głodu.

Ci nieliczni, którzy przewidująco nagromadzili pewne zapasy w domu przetrzymali jeszcze jako tako szereg tygodni, o ile naturalnie ich zapasy nie zostały w międzyczasie "zarekwirowane" przez poszukujące broni "komisje." Większość jednak Gdynian zaczęła głodować. Nawet czarnego chleba o przedziwnym "grochowo kasztanowym" smaku, trudno było dostać—chyba, że za "łapówkę" zdołało się otrzymać przepustkę na opuszczenie domu przed godziną 5 rano (t. zw. "godziny policyjne" obowiązywały od godz. 19 do 5-ej), co pozwalało zająć lepsze miejsce w kilometrowym "ogonku" tworzącym się każdego rana przed nielicznymi kontrolowanymi przez Niemców piekarniami. To samo było z materiałami opałowymi (gazownia w następstwie działań wojennych była nieczynna). A o mięsie, o maśle i innego rodzaju tłuszczach, o jajkach i t.p. szkoda było marzyć.

Bardziej przedsiębiorcze jednostki udawały się na "wyprawy żywnościowe" w okolice Wejherowa, Kartuz a nawet Kościerzyny. Wyprawy te jednak rzadko się udawały. Kończyły się po większej części konfiskatą towaru rowerów, a nierzadko uwięzieniem. Niemcy bowiem niezwykle dokładnie kontrolowali drogi, łączące Gdynię z jej bezpośrednim zapleczem.

Jednym z następstw braku artykułów żywnościowych były . . . przepełnione kawiarnie. Wydawało się dziwne, że Polacy tak chętnie popierali te przedsiębiorstwa, całkowicie opanowane przez Niemców. Należy jednak pamiętać, że przez szereg tygodni jedynie w kawiarni można było zjeść kawałek lepszego chleba z masłem, ba—czasami nawet z . . . szynką, lub też jakieś "*Ersatzkuchen*," co wielu ludziom pozwalało jako tako zaspokoić głód. Poza tym jedynie w kawiarni, za pośrednictwem zaufanego kelnera (w pierwszych tygodniach usługiwali jeszcze kelnerzy Polacy) można było kupić papierosy. Wreszcie kawiarnie były w tym okresie dla Polaków najdogodniejszym miejscem spotkań.

Początkowo odwiedzano kawiarnie Fangrata (nazwaną "Deutsches Cafee"), Mokka ("Cafee Wien") i Bałtyk ("Cafee Berlin"). Potem dwie pierwsze bardzo skutecznie zbojkotowano za wywieszenie napisów, że w "kawiarni wolno mówić tylko po niemiecku." Na szybach obu pustych kawiarń pojawiły się później nowe napisy, głoszące, że "Polakom i Żydom wstęp wzbroniony." Napisy te były jednak zbyteczne, bo Polacy z daleka omijali oba lokale, odwiedzane obecnie wyłącznie przez żołdactwo niemieckie. Co prawda dzierżawcy obu kawiarń, widząc, że grozi im ruina, próbowali pozyskać znów polską klijentelę i w tym celu usunęli z okien napisy. Próby te jednak były daremne, Polacy bowiem utrzymali bojkot w mocy.

Dzierżawca "Bałtyku" (były pracownik Kasyna w Sopotach), choć partia hitlerowska i jemu poleciła wywiesić prowokujące Polaków napisy, nie zastosował się do rozkazu i to za radą . . . polskich kelnerów kawiarni, których . . . pytał się o zdanie w tym względzie (Związek Kelnerów w Gdyni był poprzednio dzierżawcą "Bałtyku"). W ten sposób "Bałtyk" był przez pewien czas lokalem, odwiedzanym niemal wyłącznie przez Polaków.

Wracając jeszcze do rabunku zapasów żywnościowych, trzeba przyznać, że okupanci pozostawili Straży Obywatelskiej pewną, drobną zresztą ilość zapasów dla zaopatrywania zakładników i więźniów w obozach koncentracyjnych. Wkrótce jednak rozmyślili się i postanowili i te resztki zagrabić. Członkowie t. zw. sekcji aprowizacyjnej Straży Obywatelskiej dowiedzieli się o tym wprawdzie w porę i ukryli zapasy w prywatnych mieszkaniach. Gestapo jednak czuwała i w konsekwencji kilkanaście osób osadzono w więzieniu.

Wskutek obrabowania miasta z wszelkich środków, głód zajrzał już niemal do wszystkich polskich domów. Kto rozporządzał jeszcze pieniędzmi, ten zdołał raz po raz coś kupić, naturalnie za bardzo wysoką cenę. Ale i posiadających pieniądze było już co raz mniej. Widoków zaś na nowe zarobki nie było żadnych. Wszelkie przedsiębiorstwa i fabryki unieruchomiono, port, z którego większość mieszkańców żyła, stał nieczynny, wszystkie sklepy były jeszcze zamknięte. Nieliczni tylko otrzymali zatrudnienie w zakładach użyteczności publicznej (wodociągi, elektrownia, miejskie towarzystwo komunikacyjne i t.p.). Inni mieli do wyboru—albo nic nie robić i głodować, albo też wyjechać na roboty do Niemiec, lub na teren Gdańska.

Nie było ich wielu. A ponieważ Niemcy mieli ogromne zapotrzebowanie na siłę roboczą, więc wkrótce i w Gdyni, na swój sposób, rozpoczęli werbować ludzi. Wpierw wywieźli około 2.000 młodych ludzi z pośród mężczyzn osadzonych w gdyńskich obozach koncentracyjnych. Potem wydali zarządzenie o obowiązku zgłoszenia się wszystkich niezatrudnionych mężczyzn i kobiet w "biurze pośrednictwa pracy."

Zgłaszało się bardzo niewielu, wiedziano bowiem już czym to "pachnie." Ci nieliczni zaś, którzy zarejestrowali się jako bezrobotni zostali wkrótce wysłani w głąb Rzeszy.

Wyjątki robiono czasami, m.i. . . . dla urodzonych na terenie Niemiec, jako "pół-Niemcom"—jak ich okupanci nazywali—dawano im pracę w samej Gdyni lub jej pobliżu.

Byli też tacy, którzy zdołali uniknąć wywiezienia do Rzeszy za "łapówkę," bo za pieniądze można było wówczas wiele uzyskać w Gdyni. Tak skorumpowani byli nowi "władcy" portu polskiego.

Wiesław Waligórski

* Por. tegoż autora: "Z kampanii wrześniowej—obrona Gdyni i Oksywia," druk. w nr. 6 oraz pierwsze artykuły tego cyklu: 'Obozy koncentracyjne," druk. w nr. 19, "W szponach Gestapo" druk. w nr. 20 i "Martyrologia Polaków z Gdańska, druk. w nr. 21 "Polski Walczącej."

Ze wschodu na zachód, z zachodu—do Polski

Zjazd uczestników byłych formacyj wschodnich, odbyty 8 b.m. w Perth, ani nie nosił charakteru politycznego, jaki miewały nieraz różne zjazdy w kraju, ani nie był zwołany po to, aby jakąkolwiek korzyść osobistą mieli zeń ciągnąć jego uczestnicy. Stara wiara z formacyj wschodnich skrzyknęła się dlatego, by raz jeszcze, w obliczu potrzeby krajowej, uświadomić sobie obowiązek bezinteresownej służby dla ojczyzny, by przypomnieć sobie dawne chlubne dzieje i z nich czerpać przykład i otuchę. Wysoki protektorat, jakiego udzielili zjazdowi Pan Prezydent Rzeczypospolitej i Wódz Naczelny, obecność w komitecie honorowym najbardziej zasłużonych bojowników o wolność Polski, z generałem broni Józefem Hallerem na czele, nadała zjazdowi charakter szczególnie uroczysty.

Zjazd rozpoczęto mszą świętą odprawioną przez ks. Biskupa Polowego W.P., po której piękne kazanie wgłosił ks. prałat Zygmunt Kaczyński. Podniósł on, że ideą przewodnią żołnierzy formacyj wschodnich była zawsze pokora wobec ojczyzny.

W obszernej sali kinowej zebrało się kilkuset uczestników. Aż dziwne się zdawało, że między dzisiejszymi bojownikami o wolność Polski jest tylu żołnierzy, którzy przed dwudziestu paru laty walczyli pod Bobrujskiem, Kaniowem, nad Donem, pod Odesą i na Murmaniu.

Po podniosłym słowie wstępnym generała Hallera, głos zabrali referenci. Pierwszy referat objął dzieje polskiej siły zbrojnej na wschodzie w okresie 1914-1918, jak głosiły umieszczone na estradzie obok orła białego daty. Obszerny ten szkic zobrazował całokształt wysiłku organizacyjnego, ze szczególnym uwzględnieniem pracy Naczpola. Drugi zajął się Legionem Puławskim i I Korpusem gen. Dowbór-Muśnickiego. Ten specjalnie uwydatnił ideologię walki z Niemcami, reprezentowaną od początku przez formacje wschodnie. Trzeci omawiał stosunkowo mało znaną historię II Korpusu i IV dywizji strzelców. Czwarty w pięknej formie zajął się wiekopomną epopeą murmańską.

Tu nastąpiła przerwa śniadaniowa, po której wygłoszono dwa jeszcze referaty: o V dywizji Syberyjskiej oraz o III Korpusie i innych formacjach wschodnich. Podkreśliły one wspólność idei, o którą walczyli i za którą marli liczni znani i nieznani bojownicy, na ogół za mało dotąd doceniani przez współczesnych.

Na zjeździe obecny był Pan Prezydent Rzeczypospolitej, który na zakończenie zechciał zabrać głos, w płomiennym przemówieniu podkreślając walor ideowy lat ubiegłych i obowiązek względem przyszłości. W imieniu Wodza Naczelnego zjazd powitał Dowódca I Korpusu w Szkocji, zaznaczając, iż formacje wschodnie były zawsze głosicielkami jedności i braterstwa. Orkiestra wojskowa kilkatrotnie odegrała hymny narodowe polski i brytyjski oraz przygrywała podczas żołnierskiego śniadania.

Zjazd uchwalił rezolucje następujące:

Żołnierze b. Polskiej siły zbrojnej na Wschodzie, która powstała i walczyła w latach 1914-1918 na obszarach Rosji Europejskiej i Syberii, zebrani w dniu 8 czerwca r. 1941 na gościnnej ziemi szkockiej w obecności Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Władysława Raczkiewicza i Reprezentanta Naczelnego Wodza, jednomyślnie uchwalają:

1/ Wyrazić hołd i podziw dla nieugiętej postawy całego Narodu Polskiego oraz niezłomną wiarę w zwycięstwo w prowadzonej ramię przy ramieniu z Wielką Brytanią i wszystkimi sojusznikami walce o najistotniejsze ideały ludzkości.

2/ Wyrazić podziękowanie Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej, swemu Przewodnikowi od chwili powstania Polskiej Siły Zbrojnej na Wschodzie, za zaszczycenie zjazdu obecnością oraz pewność, iż pod Jego przewodnictwem wrócimy do uwolnionej od najeźdźców Ojczyzny.

3/ Wyrazić Naczelnemu Wodzowi generałowi Władysławowi Sikorskiemu bezgraniczne zaufanie i wdzięczność za trudy, poniesione dla naszej armii i wielkości Polski.

4/ Zapewnić tych, którzy pierwsi stanęli do walki o honor i wolność Ojczyzny, a dziś znoszą ciężką niewolę w obozach barbarzyńskich najeźdźców, że myślą i sercem jesteśmy przy nich, oceniając ich cierpienia.

5/ Wezwać wszystkich Polaków na całym świecie do zupełnej jedności i ofiarności w dążeniu do osiągnięcia jednego obecnie naszego celu — wolnej i niepodległej Polski.

6/ Polecić dalszej opiece Rządu Rzeczypospolitej naszą młodzież uchodźczą, która tak samo tu, jak i młodzież w kraju, stanowi największe bogactwo Narodu, a która, będąc w oderwaniu od kraju i rodziny, winna się kształcić w oparciu o ideały narodowe i etykę chrześcijańską.

7/ Przesłać braterskie pozdrowienie Polakom amerykańskim na ręce Rady Polonii Amerykańskiej oraz kolegom Weteranom Armii Polskiej w Ameryce.

8/ Przesłać koleżeńskie pozdrowienie towarzyszom broni z czasów wojny światowej z British Legion i American Legion."

Za uczestników zjazdu uchwały te podpisało prezydium, w osobach gen. broni Józefa Hallera, gen. broni Lucjana Żeligowskiego i gen. dyw. Aleksandra Osińskiego.

Mocna nuta wiary w zwycięstwo i w powrót po tej nowej tułaczce do wolnej i szczęśliwej Ojczyzny brzmiała we wszystkich przemówieniach i stanowiła charakterystyczny ton zjazdu oraz jego wysoką wartość ideową.

Antoni Bogusławski

KWIATY WIOSENNE

Byłem wtedy w gorączce, bredziłem jakieś wiersze,
ktoś obok mnie postawił kwiaty wiosenne—pierwsze.

Gdym na nich wzrok zaczepił, coś napłynęło z dala:
wspomnienia słodko-bolesne, zwę je "powrotna fala."

Rogi warszawskich ulic w kwiaciarskie pstrzone stragany
śmiały się pierwszą wiosną, a każdy był uśmiech kochany.

Gdyś szedł z dziewczęciem u boku, wieczorem, po pracy skończonej
Słyszałeś głos: "dwa za pięćdziesiątkę, kup pan dla narzeczonej."

Choć narzeczoną nie była, kupiłeś wiosenną pamiątkę,
bo przecież fijołki dla niej i dwa "tylko . . . za pięćdziesiątkę."

Lub w młodszym jeszcze wieku, gdyś miłość przechodził sztubaka
i głos cię taki zaczepił, zmieszałeś się i piekłeś raka.

Raz, bo . . . "dla narzeczonej,"—(ach! jak ją kocham! o Boże!)
Drugie, szukając pieniędzy, wiedziałeś, że to nic nie pomoże.

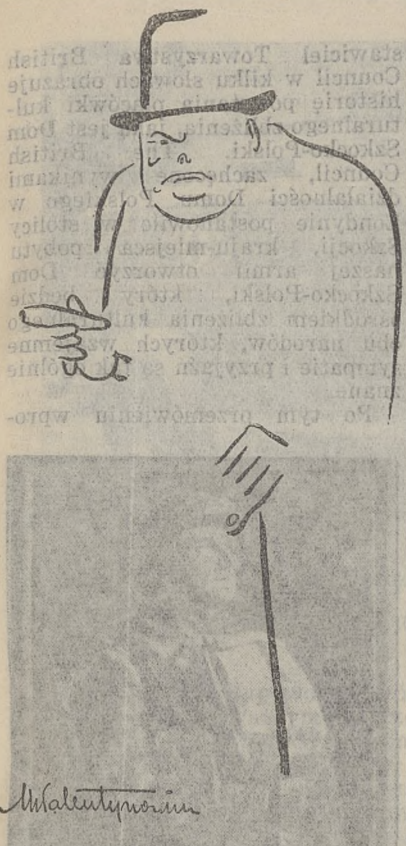
Kwiaciarka z talerzem fijołków, wiedziała już co to znaczy
i znów się czerwienią oblałeś, słysząc o "parze smarkaczy."

Najlepiej melodię przerwać, gdy struny najczulej dzwonią,
bo później zapach fijołków z grobową się zmiesza wonią.

Wgruzy się zwalą ulice, wszystko bomb będzie łupem
i zamknę kartkę wspomnień warszawskiej kwiaciarki trupem.

Somewhere in England; w marcu, 1941 roku. *Kazimierz Podgórski*

Churchill idzie od wojny do wojny



rys. Marian Walentynowicz

Po wojnie, Churchill, wciąż "kot, który zawsze chodzi własnymi drogami" powoli odsuwa się od liberałów i wraca na łono partii konserwatywnej. W gabinecie Baldwina jest kanclerzem skarbu. Zwycięstwo Labour Party usunęło go z rządu, do którego powrócił dopiero z wybuchem tej wojny, jako pierwszy Lord Admiralicji, a 10 maja 1940 jako Premier—po raz pierwszy w swym życiu.

W międzyczasie malował (tak!), pisał, przemawiał. Napisał wspaniałe dzieło,—życiorys swego przodka Duka of Marlborough, swą książkę o wojnie 1914/18 p.t. *World Crisis*. I na ten okres przypada najwspanialszy rozwój jego oratorskiego talentu. Mowy jego z tego czasu zebrane są w dwu tomach: "*Arms and the Convenant*" i "*Into Battle*." Oskarża jak Cicero, ostrzega jak Cato. Przewidział wszystko i gdyby go słuchano może wojna by w ogóle nie wybuchła, a jeśli by wybuchła na pewno innym potoczyłaby się torem. Ale Churchill jest niesłuchany, pomijany, znienawidzony,—wielki.

1. W listopadzie 1932 r. mówi: "Obawy są w Europie co raz większe, współzawodnictwo co raz ostrzejsze, plany wojenne co raz baczniej uzgadniane, organizacje wojskowe co raz staranniej i skuteczniej rozwijane,—a Anglia jest co raz słabsza. Okres słabości Anglii jest niebezpieczeństwem dla Europy. . . ."

2. We wrześniu 1936 r.: "Tragedia hiszpańska powiększa się z dnia na dzień. Nieokreślony niepokój zarówno w sprawach wewnętrznych, jak i zewnętrznych kotłuje się we Francji. Hitler nakazuje podwojenie liczby i jakości żołnierza niemieckiego. Mussolini przechwala się, że ma ośm milionów Włochów pod bronią. Wszędzie fabrykacja broni wzmaga się a nauka kala swą znieważaną cześć w brudnych i morderczych wynalazkach. Tylko nieuzbrojona, niemyśląca Anglia ma złudzenia bezpieczeństwa."

3. W maju 1938 r. (Anglia zrzeka się prawa użytkowania irlandzkich portów jako baz morskich dla swej floty wojennej): "Te garnizony (angielskie w portach irlandzkich) są obecnie bardzo małe. Zaledwie trochę większe, niż trzeba dla utrzymania i obsługi. Było by bardzo poważnym krokiem dla rządu irlandzkiego zaatakować te porty, gdy są w naszym posiadaniu i gdy mamy prawo je użytkować. Było by nader łatwą sprawą odmówić nam prawa używania, gdy raz te porty opuścimy." " ". . . I po co to wszystko zrobiono? Gdzież są nowe przesłanki, które skłoniły nasz rząd do zmiany stanowiska. Dla mnie ta sprawa jest niezrozumiała. Dla świata, dla tych wszystkich głodnych, zaczepnych państw będzie to tylko nowym dowodem na to, że wystarczy dość długo i dość natarczywie męczyć i naglić Anglię, aby ustąpiła. W ten sposób zbliżacie tylko groźbę wojny i zmniejszacie nasze możliwości uporania się z niebezpieczeństwem. Otwieracie drogę dla nowych żądań ze wszech stron. Trwonicie realne i poważne środki bezpieczeństwa i przetrwania dla ułudnych cieni i dla wygody."

4. W maju 1938 r.: "Jesteśmy obecnie w trzecim roku oficjalnie uznanego dozbrajania. Dlaczego, jeżeli wszystko jest w porządku, jest tak wiele zaniedbań? Dlaczego n.p. Gwardia ćwiczy z proporcami zamiast z karabinami maszynowymi? Dlaczego drobna armia terytorialna jest w tak zacofanych warunkach? Czy to wszystko jest zgodne z planem? Dlaczego nie jest możliwe uzbroić armię terytorialną równocześnie z armią regularną? Było by to drobne zadanie dla przemysłu angielskiego, który jest bardziej podatny i bardziej płodny, niż niemiecki we wszystkich dziedzinach za wyjątkiem broni. . . . Jeżeli Niemcy były w stanie w tych trzech latach wyposażyć i uzbroić swe lotnictwo i 60 do 70 dywizji swej armii—jak jest możliwe, że my nie byliśmy w stanie wyposażyć naszej tak skromnej armii we wszystko, czego jej trzeba. Gdybyście dali kontrakt Selfridge'owi lub "Army and Navy Stores," jestem przekonany, że dawno mielibyście dostawy uskutecznione."

5. W październiku 1938 r. (po Monachium): "Rozpocznę od stwierdzenia faktu, którego nikt nie chce widzieć i o którym każdy chce zapomnieć, ale który tym nie mniej musi być nazwany po imieniu, a mianowicie:—ponieśliśmy całkowitą i bezwzględną klęskę, a Francja ucierpiała bodajże bardziej, niż my." "Śmiem sądzić, że w przyszłości Czechosłowacja nie może się utrzymać jako niezależna całość i sądzę, że w okresie paru lat a być może nawet paru miesięcy zostanie pochłonięta przez rząd nazistowski." "Droga w dół basenu dunajskiego do morza Czarnego, droga, która wiedzie aż do Turcji została otwarta. Siłą faktu wszystkie owe państwa Europy Środkowej, wszystkie owe dunajskie kraje jeden po drugim zostaną wciągnięte w ów system polityki siły—nie tylko siły wojskowej, ale i siły gospodarczej—która promieniuje z Berlina i wierzę, że może to być dokonane bardzo gładko i bardzo szybko i niekoniecznie musi pociągnąć za sobą choćby jeden wystrzał."

Tłumaczył, prosił, przekonywał. Dobrotliwie, rozumnie, ale i złośliwie i ironicznie. Chłostał wygodną bezmyślność — "*wishful thinking*". Gdy w maju 1940 objął władzę jako premier wprowadził w czyn większość swych planów. Uelastycznił *Ministry of Supply* (Ministerstwo Zaopatrzenia), wyodrębnił zeń *Ministry of Aircraft Production* (Ministerstwo Produkcji Lotniczej). A sądząc po wynikach żal bierze na myśl, ilu klęsk i nieszczęść można było uniknąć, gdyby Anglia była uzbrojona przed wybuchem wojny w tej mierze, w jakiej jest uzbrojona dzisiaj.

"Moje ostrzeżenia i przestrogi z ostatnich sześciu lat są zarejestrowane i dzisiaj nikt nie może zażądać, abym cofnął choć jedno słowo." Niewielu mężów stanu może tak o sobie mówić. Mowy Churchilla od wybuchu wojny są w zbyt świeżej pamięci, aby trzeba je było przypominać. Przejdą one do historii jako dokument naszych czasów wraz z dziwną, fascynującą, pełną kontrastów postacią Winstona S. Churchilla.

Polską Churchill nie wiele się interesował. Zimny, trzeźwy kalkulator, wprawdzie nie lekceważył sobie Polski, ale w budżecie politycznych wartości wyznaczył nam skromniejsze miejsce, niż lekkomyślna megalomania Becka. A poza tym—uderzmy się w piersi choć nie za nasze grzechy—historia naszej dyplomacji ostatnich paru lat była tak żałośliwie kompromitująca, że wspomnę bodaj tylko uznanie podboju Abisynii i sprawę cieszyńską—że człowiek, który jako dwudziestoparoletni młodzieniec nie wahał się rzucić gorzkich słów prawdy w oczy Kitchenerowi, a od tego czasu przez całe życie hardo i bezkompromisowo szedł tylko za głosem swego sumienia czułego na każdą nieprawość i swego rozsądku czujnego na każdy błąd, że człowiek taki nie mógł czuć dla nas respektu.

6. W październiku 1938 /po Monachium/: "A cóż zdarzyło się w Warszawie? Ambasadorowie Anglii i Francji odwiedzili Ministra Spraw Zagranicznych, pułkownika Becka—albo raczej powiedzmy zamierzali go odwiedzić, aby poprosić o złagodzenie ostrych środków przedsięwziętych przeciw Czechosłowacji w sprawie Cieszyna. Drzwi zatrzaśnięto im przed nosem. Ambasador francuski nie został w ogóle przyjęty a ambasador angielski otrzymał tylko krótką odpowiedź od jakiegoś kierownika politycznego. Całą sprawę opisuje prasa polska jako niedyskrecję polityczną popełnioną przez nasze dwa mocarstwa, a dzisiaj czytamy o sukcesie uderzenia pułkownika Becka. Muszę powiedzieć, że trudno mi zapomnieć, iż ledwo dwadzieścia lat temu brytyjskie i francuskie bagnety wydobyły Polskę z półtora wiekowej niewoli. Wydaje mi się, że jest to smutny epizod w historii tego kraju, dla którego wolności i praw tak wielu pośród nas miało gorące i długotrwałe zrozumienie."

To krytyczne stanowisko wobec Polski zmienia się jednak po zawarciu paktu wzajemnej pomocy. Jego sporadyczne uwagi i napomknienia w sprawie Polski nie mają już cierpkiego posmaku powyżej cytowanych zdań, ale są pełne chłodnej i trzeźwej kurtuazji. Dopiero wojna, walka narodu polskiego z najeźdźcą i nieśmiertelna obrona Warszawy przynoszą pierwsze słowa uznania.

7. W październiku 1939: "Polska znowu została zalana przez dwa z tych wielkich mocarstw, które trzymały ją w kajdanach przez 150 lat, ale nie potrafiły zgnieść ducha narodu polskiego. Bohaterska obrona Warszawy świadczy a tym, że dusza Polski jest niezniszczalna i że powstanie ona znowu jak skała, co na chwilę może być zalana falą przypływu ale pozostaje skałą."

A potem serdeczne słowa współczucia dla umęczonego kraju.

8. 27 stycznia 1940 r.: "Lecz wszystko co cierpią Czesi blednie w porównaniu z okropnościami, które dzieją się w Polsce. . . ." ". . . . Głód chodzi nie tylko pośród ruin Warszawy, ale wzdłuż i wszerz poprzez ten stary kraj, który parę miesięcy temu był domem narodu trzydziestopięciomilionowego, którego historia sięga daleko głębiej, niż cokolwiek czym Niemcy mogą się chwalić."

9. 30 marca 1940 r.: "Co za straszliwy los spadł na Polskę. Oto było społeczeństwo 35-ciomilionowe, zorganizowane i współcześnie rządzone, posiadające tradycje starego narodu, które w ciągu paru tygodni zostało wyrzucone z cywilizowanego bytu, aby stać się zbiorem milionów umęczonych i z głodu ginących mężczyzn, kobiet i dzieci, przyduszonych butem dwu rywalizujących ze sobą form pogardy godnej i diabelskiej tyranii.

Onegdaj w znanym angielskim porcie odwiedziłem załogę polskiego ścigacza. Nigdy jeszcze nie widziałem lepszego zespołu ludzi. Byłem poruszony ich dyscypliną i postawą. A przecież jak straszny jest ich los. Ich okręt płynie, ale ich ojczyzna zatonęła. Lecz gdy spojrzałem wokoło na te przygotowania czynione wszędzie, aby prowadzić tę wojnę za wszelką cenę tak długo, jak będzie tego trzeba, pocieszyłem się myślą, że gdy ci polscy żeglarze zakończą swą pracę wespół z flotą brytyjską, *to my postaramy się, aby mieli dom, do którego będą mogli wrócić.*"

Dominik Szczerbic

Por. tegoż antora: "Mowy Churchilla," druk. w nr. 21, "Żywot Churchilla," druk. w nr. 22-23, "Polski Walczącej."

"Jedna rzecz jest pewna, jedna jest niewątpliwa, jasna i niezaprzeczalna, wznosząca się jak blok masywny i nie do zdobycia, jako coś, co widoczne jest dla całego świata: nie ręce Niemców odbudują strukturę Europy, nie Niemcy utworzą braterski związek narodów europejskich."

Z mowy Churchilla na zebraniu międzysojusznieczym w St. James Palace, na którym deklarację solidarności i woli walki aż do zwycięstwa imieniem Polski złożył gen. Wł. Sikorski.

"Nad Wisłą i Wkrą"

Na ziemi brytyjskiej świeżo opuściło prasę drukarską nowe wydanie, tak nam wszystkim dobrze znanej pracy generała Władysława Sikorskiego, zatytułowanej "Nad Wisłą i Wkrą."

Przywołuje ona obrazy dawnych zwycięstw i dawnej chwały. Napisał kiedyś Dante "*nessun maggior dolore che ricordarsi del tempo felice nella miseria*" (nie ma większego bólu jak wspominać czasy szczęśliwe w nieszczęściu), ale jednak po strasznych przeżyciach klęski w Polsce w roku 1939 i we Francji w następnym, samo już wzięcie do ręki tej pracy przynosi otuchę, dodaje ducha.

Czytanie o pięknych i zwycięskich walkach stoczonych w czasach, gdy Naród nasz dopiero się wyrwał z przeszło stuletniej niewoli i zaledwie zaczął się organizować stwarzając nowe formy przyszłego, niepodległego życia utwierdza przekonanie, że i z obecnie przeżywanych nieszczęść się otrząśnie, że i po klęsce teraz poniesionej zwycięsko powstanie i wszystkie swoje porachunki z najeźdźcami wyrówna tak, jak to zrobił w roku 1920.



Tym bardziej trzeba tego być pewnym, że, jak Autor pisze we wstępie do londyńskiego wydania swej książki: "Naród Polski wykazuje w tej niebywałej w historii ludzkiej katastrofie bohaterstwo niezłomne. . . . Jest on źródłem niewyczerpanych sił moralnych, a te odegrają jeszcze w okresie przełomowym toczącej się wojny rolę rozstrzygającą".

Praca generała Sikorskiego jest zbyt powszechnie i dokładnie znana, aby teraz szczegółowo przypominać jej treść. Wystarczy zaznaczyć, że nie jest ona tylko historią działań 5-ej Armii, którą Autor wówczas dowodził, lecz także dziejami całego decydującego okresu wojny 1920 roku, obejmując działania od początku rosyjskiej ofensywy nad Auta aż do zakończenia pościgu po bitwie warszawskiej. Nie znajdzie więc w niej czytelnik ani wyprawy kijowskiej, ani też majowej ofensywy Tuhaczewskiego, działań Budiennego i końcowej bitwy nad Niemnem.

Oczywiście przebieg działań na froncie 5-ej Armii jest przedstawiony o wiele bardziej szczegółowo, niż na innych odcinkach. Jest to naturalne, gdyż właśnie te działania stanowią główny temat książki, gdy operacje innych armii są właściwie tłem koniecznym dla zrozumienia tego, co się działo.

W każdym razie przeczytanie pracy generała Sikorskiego daje nie obraz fragmentu "osiemnastej decydującej bitwy w dziejach świata" jak ją swego czasu nazwał wicehrabia D'Abernon, ale obraz całości z uwzględnieniem jednak większej ilości szczegółów na odcinku północnym.

"Nad Wisłą i Wkrą" jest pracą wyjątkowo silnie udokumentowaną i niewątpliwie musiała kosztować niemało trudów. Dosyć sobie uprzytomnić, że sam wykaz bibliograficzny zawiera 456 pozycyj dotyczących studiowanego zagadnienia, nie licząc długiego szeregu dzieł o charakterze ogólnym, również przy opracowaniu tej książki wykorzystanych. Każdy kto miał kiedykolwiek do czynienia z robotą historyczną zdaje sobie sprawę z tego, jaką to ogromną pracę przedstawia. Załączenie wymienionego wykazu stanowi zresztą nie małą zaletę książki, ułatwiając mianowicie pracę wszystkim tym, którzy by chcieli czy to dalej prowadzić studia nad kampanią 1920 roku, czy też tylko po prostu się z nią bliżej zapoznać.

Z czysto wojskowego punktu widzenia bitwa 5-ej Armii nad Wkrą zawsze będzie tematem studiów bardzo ciekawym i bardzo pouczającym. Walka stoczona z trzema armiami nieprzyjacielskimi /4, 15 i 3/, a więc z mniej więcej trzykrotnie silniejszym przeciwnikiem, przy doskonałym wykorzystaniu możliwości, jakie 5-ta Armia miała dzięki swemu centralnemu położeniu stawia bitwę nad Wkrą w szeregu najpiękniej przeprowadzonych operacyj. Jednocześnie jest ona dobrym przykładem świetnie przeprowadzonej obrony zaczepnej. Nic też dziwnego, że gen. Faury w swej pracy o bitwie warszawskiej nazwał ją manewrem w stylu iście napoleońskim. Studiowanie działań tego rodzaju zawsze i wszędzie da niewątpliwie duże korzyści.

Ogromnie ciekawe są załączniki, dające nie tylko doskonałe szkice kolejnych sytuacyj, ale także dokładne wykazy stanów liczebnych obu stron, strat strony polskiej i t.d. Tu jednak trzeba podkreślić przykry błąd wydawcy: szkice sytuacyjne zawierają jedynie rozmieszczenie oddziałów, nie zawierają natomiast wcale terenu, były więc przeznaczone do wydrukowania na oleatach i nakładania na załączoną mapę. Tymczasem wydrukowano je na grubym i nieprzezroczystym papierze co studiowanie operacji w bardzo dużym stopniu utrudnia, bo aby sobie dokładnie uprzytomnić położenie oddziałów na mapie, trzeba szkice przerysować na kalkę, a dopiero je nakładać na mapę.

Szczególnie ciekawy jest ostatni /XII/ rozdział książki o tajemnicy i znaczeniu polskiego zwycięstwa w 1920 roku. Bardzo głęboka analiza przyczyn najpierw klęski, a potem powodzenia zawiera wiele cennych nauk na przyszłość, z których niestety nie skorzystaliśmy. Niektóre zdania są wprost prorocze:

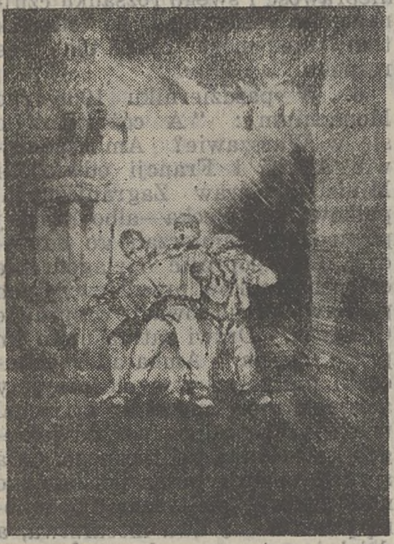
"My, Polacy, ponadto dochodzić musimy specjalnie tajemnicy zwycięskiego zakończenia wojny, by atmosfera triumfu, usypiająca zawsze wolę zwycięscy, nie stała się dla Armii niebezpieczną. Jest to i dlatego jeszcze potrzebne, że liczyć się nam trzeba w przyszłości nawet na wschodzie z przeciwnikiem daleko groźniejszym, aniżeli w naszej ostatniej z Rosją orężnej przeprawie."

Niestety słów tych nie usłuchaliśmy a prawdziwość ich musieliśmy stwierdzić w sposób tragiczny.

Władysław Dziewanowski

Polskość Edynburga

"Latający Szkot" zdawał się być powolnym, towarowym, żmudnie wlokącym się pociągiem. Bezsenne godziny spędzone w zatłoczonym, zadymionym przedziale wagonu rozciągały nazbyt elastycznie każdą z minut w okresy nieskończenie nużącego czasu. Gdyby nie świadomość odwiedzin Szkocji, do której tęskniła głowa w chwilach wolnych od londyńskich kłopotów—kląłbym całą podróż, co się zowie. Tymczasem jednak charakterystyczny, śpiewny akcent Glasgowa przeplatany



M. Gleb-Kratochwil: "Warszawianka" w oblężonej Warszawie

śpiczastym, śmiesznym akcencikiem portowego Dundee, moich współpodróżnych przedziału: żołnierza i marynarza gwarzących ze sobą—żywo mi przypominał, że celem mojej podróży jest Szkocja, kraj i ludzie co się tak nierozłącznie związali z naszym życiem polskiego żołnierza.

A jadę w dodatku po to, by być świadkiem jeszcze jednego z momentów zespalających nasze wspólne sympatie polsko-szkockie. Jadę by uczestniczyć w otwarciu Domu Szkocko-Polskiego w Edinburgh stolicy Szkocji i wystawy sztuki międzyalianckiej, na której większością reprezentującą dorobek krajów sprzymie-



J. Walker: Porucznik z "Błyskawicy"

rzonych z Wielką Brytanią są Polacy—polscy żołnierze.

Otwarcie wystawy wyznaczone na godzinę trzecią—mam więc kupę czasu. Mogę tymczasem zwiedzić, choćby pobieżnie to "najpiękniejsze z miast szkockich" jak charakteryzują Edinburgh. Naprawdę, tyle słyszałem samych superlatywów o tym mieście, że boję się nieco rozczarowania jak z przereklamowanym towarem. Ale nie ma obaw! Trudno sobie wyobrazić jak piękne i jak pełne uroku jest "stare miasto" Edinburgh'a, jak całość łączy się harmonijnie nowoczesnością architektury lat ostatnich ze wspomnieniami zeszłych wieków, które tu nie minęły. . . . Mówią do nas na każdym kroku—jesteśmy, trwamy nie tylko we wspomnieniach, lecz pięknem naszej strzelistości kształtów, wdziękiem patyny starości zmurszałej a świeżej, dawnej a tak bliskiej dzisiejszemu oku, które nas potrafi zobaczyć i ocenić. . . .

Zbliża się czas wyznaczony na otwarcie wystawy. Śpieszę więc serpentyną drogi starego zamku ku Princes Street, gdzie piękną kolumnadą rozsiadł się budynek *National Gallery of Scotland.* Wystawa Międzyaliancka — więc już u wejścia międzynarodowe towarzystwo. Prócz szkockich i angielskich gości, mundury czeskie, złote galony holenderskiego kapitana marynarki wojennej. Dźwięk mowy angielskiej przeplatają słowa polskie, francuskie. Są nawet Norwegowie.

Przez zatłoczony ludzką ciżbą hall pawilonu wystawowego przedostaję się do jednej z sal, gdzie rozstawione rzędy krzeseł i stolik prezydialny na podniesieniu oznaczają, że właśnie tu ma się odbyć uroczystość otwarcia wystawy.

Goście grupami wchodzą do sali i zajmują miejsca w krzesłach przeznaczonych dla publiczności. Wśród polskiej grupy mundurów—generalskie błyskawice przedstawiciela dowódcy I Korpusu Polskich Wojsk stacjonowanych w Szkocji. Wchodzi na salę minister prof. Stroński w towarzystwie Komendanta miasta Edinburgh'a i majora L., oficera oświatowego ośrodka Edinburgh.

Krótkie, kolejne przemówienia Sir John'a Chancellor, w imieniu *The British Council* organizującego tę wystawę, Thomas'a Johnston, podsekretarza Stanu dla Szkocji, który otwiera wystawę i wreszcie kustosza galerii pana Kenneth'a Sanderson—przekazują sale wystawy zgromadzonej publiczności do zwiedzania.

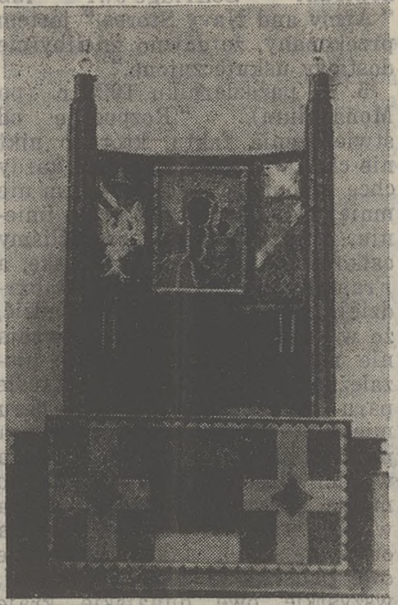
Korzystam z zaofiarowanych mi usług jednego z artystów-żołnierzy, by wraz z nim zwiedzić sale wystawy, pod jego fachowym przewodnictwem. Przy sposobności rozpytuję go, jako lepiej obeznanego z terenem także i o sprawy nie artystycznej materii—a kto to jest ten pan, a kto ów? Dowiaduję się, że wśród polskich gości przybyłych na wystawę są wszyscy Szefowie Oddziałów I Korpusu, a ten wysoki pan w mundurze majora-lekarza to Dziekan polskiego Wydziału Medycznego Uniwersytetu w Edinburgh.

Zwiedzając spotykamy ministra prof. Strońskiego w sali architektury. Z uwagą przygląda się projektom i szkicom—dziełu polskich architektów-żołnierzy. Kapitan J., jeden z organizatorów wystawy a zarazem jeden z wystawiających swe prace artystów—objaśnia szczegóły planów i projektów rozwieszonych na ścianach.

—"Jak się wasza praca architektów przyda w przyszłości!—mówi prof. Stroński. Będziecie mieli, wy architekci, duże pole do popisu. Ciężka was czeka w Polsce praca. Trzeba będzie dobrze rękawy zakasać kiedy nadejdzie czas odbudowy. . . ."

Trudno mnie, niepowołanemu wyrażać swoje opinie o wartościach wystawy z punktu widzenia artystycznego. Mogę powiedzieć tylko krótko, po żołniersku: podobało się!

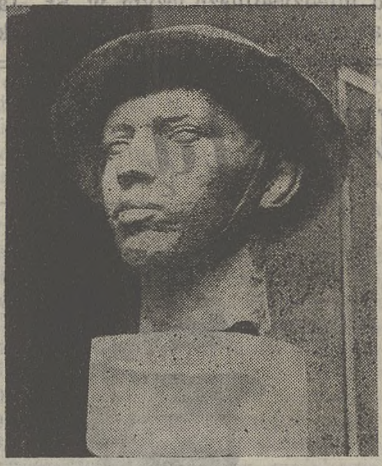
A wszystkim podobało się nie



E. Chyliński: Ołtarz polowy

tylko to co oglądali, lecz także i fakt, że artyści-żołnierze znaleźli jednak poza codzienną pracą w swoich oddziałach w wojsku dość czasu, by poświęcać się nadal swemu artystycznemu powołaniu i dojść do wyników, których dowodem jest wystawa ich prac.

W dwa dni po otwarciu wystawy międzyalianckiej w piękny, słoneczny ,niedzielny dzień wędrowałem znów ulicami Edinburgh'a. Celem mojej wędrówki



T. Koper: Głowa polskiego żołnierza

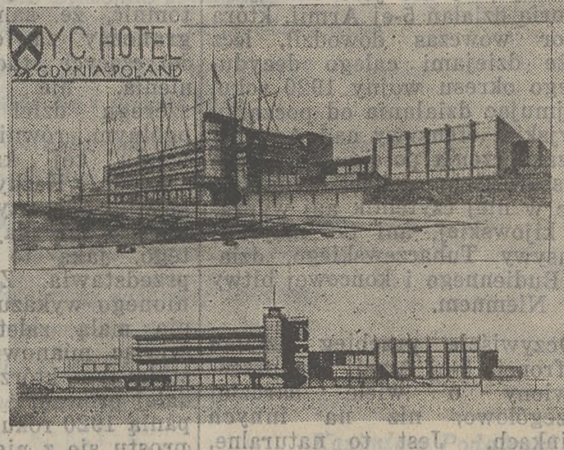
był tym razem Zielony Pagórek Ogrodów. (Tak można by od biedy przetłomaczyć angielską nazwę ulicy, której adres mi podano.) Oznaczona numerem 7-ym skromna willa przy Greenhill Gardens na dziś przybrała niecodzienną, odświętną szatę. Ponad wejściem powiewają sztandary polski, biało-czerwony i szkocki z czerwonym lwem na żółtym polu. U progu wejścia lokaj ugalowany niczym



Jeden z żołnierzy-artystów przed swoim obrazem na wystawie



Z. Celarski: Zagroda rolnika



T. Sieczkowski: Hotel Yacht Club'u w Gdyni

rumuński policjant, odbiera zaproszenia od wciąż napływających gości.

Nadchodzących wita Sir John Chancellor, czyniąc honory domu w imieniu *The British Council.* Salon na parterze, gdzie goście gromadzą się grupami polskich mundurów pomieszanych z cywilnymi strojami szkockich pań i panów powoli zapełnia się. Staram się uciec w najdalszy, najmniej widoczny kącik salonu by ukryć swój skromny, jedyny na sali battledress. Już jednak po chwili przypominam sobie, że przecież moja bluza stroju polowego to strój w dzisiejszych warunkach żołnierskiego bytu równy najwspanialszym, galowym mundurom i frakom. Naprawdę, nie ma się czego wstydzić!

Jeden ze szkockich dziennikarzy zwietrzywszy po notatniku w moim ręku kolegę po fachu—już nawiązał ze mną kontakt. Wypytuje o to i owo z mego zasobu wiadomości o polskiej stronie święta. Tłomaczę mu więc, że ten szczupły pan w mundurze generalskim to dowódca I Korpusu W.P., że tamten wysoki, siwy to Dziekan polskiego W-łu Medycznego Uniwersytetu w Edinburgh, a ten znów pan w cywilnym ubraniu, co rozprawia tak żywo z jakąś panią—to prof. Stroński, minister Informacji i Dokumentacji naszego Rządu. Dalej w grupie mundurów polskich oficerów stoi siwy pułkownik. To przedstawiciel Kwatery Głównej Sztabu Naczelnego Wodza—żołnierz-poeta i literat.

Szkocki kolega dzieli się z kolei swymi wiadomościami. Mówi mi o tym, że ten pięknie przybrany kwiatami salon, w którym jesteśmy, będzie służył w przyszłości jako sala szkolna polskich dzieci przebywających i uczących się w Edinburgh'u, że kosze kwiatów zdobiące całą willę zielenią, i kolorami wiosny, że papierosy setkami zalegające stoły—to piękny gest, dar mieszkańców sąsiednich domów Greenhill dla użytku Domu Szkocko-Polskiego. Że wreszcie, otwarcia domu dokona The Earl of Elgin and Kincardine, wielki przyjaciel Polski i Polaków, prezes powstałego przed tygodniem Towarzystwa Polsko-Szkockiego. Dom ma być też miejscem rozrywki żołnierza polskiego, który by przejazdem zawędrował do Edinburgh'a lub przybył spędzić tu swój urlop. Że społeczeństwo Edinburgh'a w domu tym będzie mogło nawiązywać kontakty towarzyskie z naszą armią, którą tak ceni i lubi, że. . . .

Wejście Lorda Elgin'a w towarzystwie Sir Chancellor'a przerywa naszą rozmowę. Milkną gwary. Sir Chancellor, jako przedstawiciel Towarzystwa British Council w kilku słowach obrazuje historię powstania placówki kulturalnego zbliżenia, jaką jest Dom Szkocko-Polski. The British Council, zachęcone wynikami działalności Domu Polskiego w Londynie postanowiło w stolicy Szkocji, kraju-miejsca pobytu naszej armii otworzyć Dom Szkocko-Polski, który będzie ośrodkiem zbliżenia kulturalnego obu narodów, których wzajemne sympatie i przyjaźń są tak ogólnie znane.

Po tym przemówieniu wpro-



A. Żyw: Kapral z Czarnej Brygady

wadzającym, Lord Elgin dokonuje oficjalnego otwarcia domu. Przemawia z kolei prof. Stroński w imieniu Rządu Polskiego dziękując Towarzystwu *British Council* za okazaną inicjatywę i prace w ramach zbliżenia polsko-brytyjskiego. Dom—mówił—jest nie tylko budowlą złożoną z kamieni i cementu, materiałów, które mogą ulec zniszczeniu pod podmuchem bomby. Dom ma zawsze duszę. Dom Szkocko-Polski musi posiadać szkocko-polską duszę. . . . Wszystko, co w historii przyjaźni szkocko-polskiej przemawia za naszymi wzajemnymi sympatiami—odradza się teraz w związkach obu narodów z niebywałą serdecz-



Z. Haupt: Przegląd koni

nością wzajemnego zrozumienia."

Przemawiał jeszcze przedstawiciel polskiej armii w Szkocji i w imieniu ministra oświaty Polskiego Rządu—Dziekan polskiego W—łu Medycznego Uniwersytetu w Edinburgh'u—prof. dr. Jurasz. Ten ostatni dziękował w specjalnie gorących słowach uznania i wdzięczności za prace nad zorganizowaniem Domu Szkocko-Polskiego profesorowi Harvey Wood, delegatowi *The British Council* na Szkocję. Odegranie hymnów narodowych polskiego i brytyjskiego zakończyło część oficjalną uroczystości.

Sprawozdawca Radiofonii Brytyjskiej zwija mikrofony. Przemówienia nagrane na płyty zostaną dziś nadane w programie rozgłośni brytyjskich w ramach reportażu z uroczystości otwarcia Domu.

Poświęcam jeszcze trochę czasu na zwiedzenie willi. Piękne urządzenia, wyposażenie w pianino, bibliotekę, wygodne meble tego jasnego, pełnego słońca domu zapewnią przyszłym korzystającym z jego gościny mile i pożytecznie spędzone chwile.

* * *

Wieczorem, pociąg Edinburgh-London, tym razem nieznośnie szybko oddalał mnie co raz bardziej od Szkocji z każdym obrotem stalowych kół lokomotywy.

Bolesław K. Piekarski
fotografie Stanisława Rochowicza

Felieton uczuciowy



Samochód sanitarny—dar miasta Buffalo w Stanach Zjednoczonych

W niewielkim, typowo londyńskim, domku na każdym piętrze jest pracowity i pogodny zarazem nastrój. Pierwsze odwiedziny i pierwsze—często najsłuszniejsze—wrażenie przemawiają za tym, że Polski Czerwony Kryż zda swój trudny egzamin. Łatwy wstęp, brak formalizmów i życzliwe przyjęcie interesanta już na początku odwiedzin świadczą o tym, że instytucja i jej pracownicy chętni są do wszelkiej pomocy. Wędrując od biura do biura bez żadnych trudności i meldowań mogłem zobaczyć wielu interesantów szybko i życzliwie obsłużonych. Tu się pomaga, nie urzęduje — tak pomyślałem, wchodząc z kolei do gabinetu prezesa instytucji, dr. Włodzimierza Koskowskiego.

Mówiliśmy o celach zasadniczych Polskiego Czerwonego Krzyża. Są nimi: opieka nad żołnierzem i jeńcem, oraz opieka nad dotkniętą wojną ludnością cywilną. Żeby sprostać tym elementarnym, ale jakże ciężkim dziś zadaniom, P.C.K. musi mieć ogromne środki. Napływają one z wojska, i marynarki, które cel ten wspomagają szczególnie gorliwie i wydatnie, a Polacy z całego świata również śpieszą z pomocą. Nie brak pomocy tej z żadnej części świata. Trzeba podkreślić, że Ojciec Święty bardzo dopomaga jeńcom naszym w Niemczech, oraz Polakom we Włoszech. Czerwone Krzyże: Brytyjski, Kanadyjski i Południowo-Afrykański są również na liście najbardziej uczynnych naszych przyjaciół. Hojne osoby prywatne, Amerykański Czerwony Krzyż i Międzynarodowy Czerwony Krzyż już obecnie zapisały się trwale w naszej historii powrześniowej.

Nowy zarząd P.C.K. jest akredytowany w Komitecie Międzynarodowym Czerwonego Krzyża i w Lidze Czerwonych Krzyży, zrzeszającej Czerwone Krzyże wzgiędnie Czerwone Półksiężyce różnych narodów. W Genewie zasiadamy więc—w tym jedynym wypadku—przy jednym stole z delegatami niemieckimi.

Jak się dowiedziałem, Polski Czerwony Krzyż posiada obecnie 19 delegatur, opiekujących się—gdzie to tylko można czynić—byłymi żołnierzami polskimi oraz polską ludnością cywilną. Tam, gdzie nie zachodzi potrzeba takiej pomocy, delegaci zbierają środki i pomoce. Do najbardziej czynnych i najwięcej sprawie zasłużonych instytucji należą przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych Rada Polonii Amerykańskiej (cenzor Świtlik), konsulowie, jak p. Ripa w Chicago i p. Podoski w Ottawie, p. Banasiński w Bombaju. Zresztą trzeba by wyliczyć wszystkich. Mnóstwo Polaków będzie sobie mogło powiedzieć po tym kataklizmie, że każdy—jak mógł—do końca spełnił w swoim zakresie swój obowiązek.

Tylko wspólnym wysiłkiem uda się opanować sytuację, która—



P. Prezydent przy kartotece poszukiwanych w biurze P.C.K.

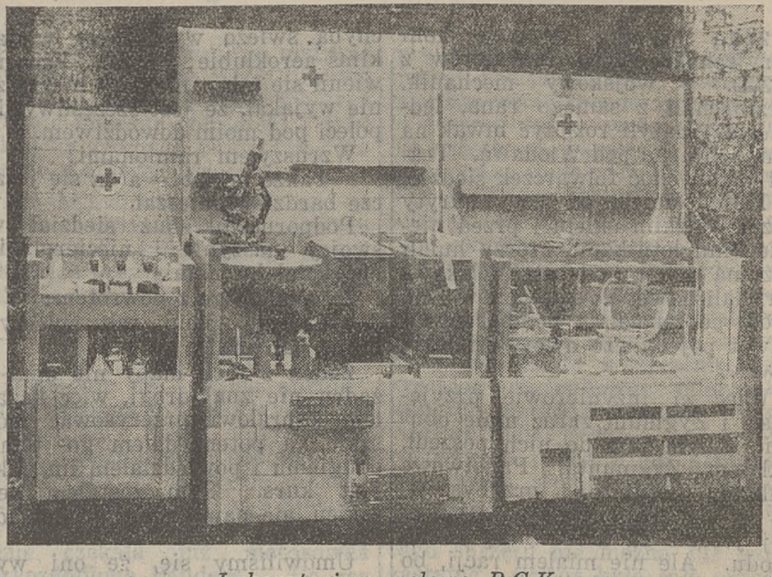
dziś ciężka—nie mniej trudna będzie po wojnie. Czerwony Krzyż znajdzie się w zniszczonym i wynędzniałym kraju jednocześnie z armią i będzie musiał z opieką nad żołnierzem pogodzić takie zadania, jak zwalczanie epidemii oraz pomoc powracającym jeńcom i uchodźcom, którzy zaczną gromadnie napływać do kraju z dalekich przymusowych wędrówek i zesłań. Już dziś wiele starań poczyniono, aby odmienić los rodzin polskich, wysłanych przez bolszewików na Sybir i do Turkiestanu, lecz Sowiety na jakiekolwiek interwencje stale odpowiadają, że wszystkim ludziom na terenie Sowietów dzieje się doskonale i że nie zachodzi potrzeba pomocy komukolwiek, niezależnie od narodowości. . . .

Rzeczą interesującą jest, że dyrektorką szkoły pielęgniarek w Tureckim Czerwonym Półksiężycu jest Polka, współpracowniczka P.C.K. p. Mochnacka. Tu, na terenie Wielkiej Brytanii P.C.K. zabiega o pomnożenie ruchomych ambulansów, zakłada stałe przychodnie, dopomaga studentom medycyny (80 słuchaczy na uniwersytecie w Edynburgu), udziela pomocy w sanitarnym zaopatrzeniu W.P., załatwia korespondencje z krajem, przesyła paczki jeńcom—no i opracowuje plany przyszłej akcji w kraju. Jednym z poważnych działów tej akcji będzie zaopatrzenie w masę sprzętu sanitarnego.

Tak rozmawiając z kierownikiem instytucji, która ulegnie z natury rzeczy olbrzymiemu rozrostowi—widzę i słyszę, jak myśl jego, natychmiast po ocenie potrzeb i planów bieżących—wybiega bardzo daleko na przód. Troska wszystkich matek, żon i sióstr o los rannych i chorych żołnierzy, o zdrowie dzieci i bliskich, uchronienie ognisk od zarazy a powracających od bezdomności—zda się, że tu się koncentruje. Doprawdy, Czerwony Krzyż jest jak wiecznie czynna, przewidująca matka. Ten właśnie charakter pracy, najszlachetniejszej i najmniej sobie poświęconej, wpływać musi na tutejszą atmosferę. Tu się pomaga—jak powiedziałem—pomaga nie sobie, lecz zawsze innym . . .

* * *

Teraz nieco szczegółów. Więc na przykład—mówiła mi p. Ponikiewska—jeśli chodzi o poszukiwanie osób, to obecnie P.C.K. jest w stanie natychmiast odpowiedzieć na jedną trzecią część otrzymywanych zapytań. W 40 procentach P.C.K. odpowiada już po trzech tygodniach, w 10% po 2 miesiącach i tylko nie jest w stanie odpowiedzieć na 10 procent zapytań. Najtrudniej jest ustalić adresy na obszarze Francji okupowanej, gdzie Niemcy stosują specjalne rygory. No—i w Rosji . . .



Laboratorium polowe P.C.K.



Świetliczarki

Wydział kulturalno-oświatowy Polskiego Czerwonego Krzyża, prowadzony energicznie i pracowicie przez p. Zofię Leśniowską, uruchomił już 30 świetlic i 6 kantyn przy tych świetlicach.

Wywnioskowałem z własnych obserwacji tudzież z rozmowy w P.C.K. że praca świetliczarek jest w dużym stopniu zależna od ich kwalifikacji i uzdolnień, a także od taktu i stopnia kultury zainteresowanych w poszczególnych pododdziałach. Gdzie niegdzie jest doskonale, gdzie indziej dobrze, tu i ówdzie mogłoby być lepiej.

Z bibliotek—29 jest w Szkocji, 40 u lotników, 10 u marynarzy. Niektóre biblioteczki mają po 80 tomów. Razem jest w obiegu 2000 tomów. Wielu żołnierzy przywiozło ze sobą książki ze świetlic we Francji, ratując je w ten sposób od utraty. Stało się to tak w wypadkach, gdy świetliczarka nie była formalistką i zamiast pozostawić bibliotekę w odwrocie—rozdała książki żołnierzom. Tu żołnierze książki zwrócili.

P. Święcicka pokazała mi porządnie prowadzone kartoteki książek, płyt, tekstów piosenek i wielu tekstów literackich, o które proszą żołnierze dla celów oświatowych i rozrywkowych, jak wieczornice, poranki i t.p. na ich zamówienie pani Święcicka skieruje urzędniczkę do biblioteki British Museum i żądany tekst zostaje odpisany. Widziałem także bardzo piękne i dokładnie ustrojone ludowe lalki, zakopiańskie wyroby z drzewa, modele skrzyń krakowskich i śląskich. Są to wyroby bądź chłopców z bursy polskiej, bądź własnych warsztacików, bo to i własny mały warsztacik tkacki już jest; kilimkarstwo polskie w Londynie!

Z Polską Y.M.C.A. ma wydział bardzo bliską i serdeczną współpracę. Do tej współpracy Y.M.C.A. wnosi między innymi świetnie prowadzony i wydawany w Perth "Poradnik dla pracowników świetlic żołnierskich." Kto się interesuje tym działem, niech przejrzy sobie jakikolwiek numer tego doskonałego, pełnego inwencji poradnika. A jest przytym bardzo "smaczny" w swej skromnej szacie graficznej.

Świetlice P.C.K. wyposażone są poza książkami polskimi i francuskimi w obrazy, portrety, gry, powielacze, maszyny, podręczniki, sprzęt sportowy i muzyczny, nuty, mapy, farby, dekoracje i t.p.

Pytałem się jeszcze o to, czy zaczęły już nadchodzić książki polskie z Ameryki. Więc owszem. Nawet sporo. Niektóre miały wzruszające dedykacje. Oto jedna z nich—w książce p.t. "W górę serca—Rodacy":

Drodzy sercom naszym Bohaterzy polscy:

Serce dumą się przepełnia czytając tak często o Waszych bohaterskich walkach—przy boku sprzymierzonej nam armii Wielkiej Brytanii—w obronie wolności cywilizacji.

O! niech Wam Pan Bóg błogosławi w Waszych wysiłkach do pokonania krwiożerczego najeźdźcy i jak najprędzej pozwoli doczekać się nam tego cudu zwycięstwa—a przez to wolnej i niepodległej naszej Polski.

Codziennie, gorąco o to Boga proszę przez wstawiennictwo Matki Boskiej—Królowej Polski i ufam—że niegodne prośby nasze litościwy Bóg wysłuchać raczy.

Bywajcie zdrowi!

Opiece Bożej i Matki Najświętszej oddaję Was wszystkich—rycerzy polskich—życząc jeszcze raz szybkiego zwycięstwa.

Z serca Wam oddana—i zawsze Was—przed Bogiem w pamięci mająca.

22 listopada 1940.
Eustachia Dukarska,
1915 *Holland Ave.,*
Saginow Michigan,
U.S. of America

Mojemu przyjacielowi Walentynowiczowi wachmistrzowi bojowemu z tamtej wojny, a dziś z niewiadomych mi powodów wciąż sierżantowi — udał się plakat dla Polskiego Czerwonego Krzyża. Robi go naturalnie bezpłatnie, jako swój wkład w naszą opiekuńczą instytucję. Najpierw, jako srogi sierżant-szef, wychowywał podchorążaków, teraz pruszy farbę na plakat i przygaduje:

— Nie pojadę do Kanady! Nie będę nic nikomu malował! Nic już nikomu nie namaluję! Mam dość! Wracam do linii.

Odsuwa plakat, zwęża oczy, poprawia bliki na hełmach podhalan i . . . pacykuje, "pecekuje" dalej. Aby skończyć na czas. P.C.K. będzie prosiło o dalszą pomoc—tym plakatem właśnie.

—Nie psiocz—mówię—a lepiej posłuchaj, jak pisze do ciebie Polka z Ameryki—I czytam list "do bohaterów polskich." . . .

Walentynowicz słucha uważnie i mówi:

— Namaluję chyba tę matkę Eustachię . . . poczciwa kobita!

Ale my już ją mamy w naszych sercach narysowaną—jedną z miliona, za nas się modlących.

Tak w tym feljetonie o Polskim Czerwonym Krzyżu napisało mi się mimo woli sporo o miłości. Bo instytucję tę zrodziła miłość, przerażona krwawym dziełem kataklizmów.

Stanisław Strumph Wojtkiewicz



Fragment dekoracji ściennej w jednej ze świetlic



Wieczornica w lokalu świetlicowym

Z kampanii wrześniowej

"Niezapominajki"

Żółtą bryczką w parę koni przyjechało dwóch inżynierów z P.Z.L. i wojskowy mechanik. Przyjechali z samego rana, ledwieśmy zdążyli rozłożyć biwak na tym folwarku pod Włodawą. Trafili jakoś, choć folwarczek siedział w lasach, daleko od szosy, ukryty przed ludzkim okiem i przed niemieckimi lotnikami, którzy hulali już na dobre nad całą Polską i strzelali nawet do pastuchów i do krów po łąkach, a bombardowali nawet pojedyńcze dwory wiejskie i wsie.

Więc ci inżynierowie przyjechali i Zygmunt zaraz mnie obudził, żebym tam do nich poszedł. Skląłem Zygmunta, Państwowe Zakłady Lotnicze i przybyszów, bo mi się spać chciało po całonocnej jeździe za kierownicą samochodu. Ale nie miałem racji, bo inżynierowie szukali pilota.

—Pilota? Poco? — zapytałem głupio.

Oczywiście po to, żeby latał.

Od razu mi senność przeszła. I złość także. Zwłaszcza, gdy się dowiedziałem, że potrzebny jest pilot do P-11, i że maszyna ma nowy silnik, i że jest uzbrojona, i że amunicji mają do nagłej krwi. . . .

—Gdzież jest takie cudo?—zapytałem, jeszcze trochę niedowierzająco.

Okazało się, że zaledwie o parę kilometrów, tuż przy szosie, w szczerym polu, albo raczej—w szczerej polanie między lasami. Prócz niej są tam dwie łącznikówki RWD-8 z pilotami rezerwy i właśnie trzeba ich poprowadzić do Zaleszczyk. Nie jest to bardzo wygodna towarzyszka—RWD dla "jedenastki"; tamta ma 120, ta—ponad 300 kilometrów na godzinę. Ale—myślałem—niechno ja tych bubków odprowadzę, to już potem sam się przyczepię do jakiejś myśliwskiej eskadry i wtedy. . . .

Pojechałem więc żółtą bryczką z inżynierami, żegnany przez ziewającego Zygmunta, który był kwaśny o to, że ledwieśmy się znaleźli, a ja już wyrywam i zostawiam go na pastwę losu i komendanta bazy.

Dzień był suchy, słoneczny, gorący, jak te wszyskie dni wrześniowe, które się toczyły nad Polską razem ze słońcem, przez dymy pożarów i kurz marszów, w takt łomotu bomb i działowego ognia.

Bryczka turkotała po szosie, kłapały metalicznie a gęsto cztery pary podków, parobek siedzący na koźle pomrukiwał coś do siebie, czy do koni i ćmił śmierdzącego papierosa, inżyniery milczały rozglądając się po szerokim pasie nieba między parawanami lasu, mnie zaś zaczynała z powrotem ogarniać senność.

Ktoś spytał, czy mam mapę. Nie miałem, ale przygotowałem był sobie jaki-taki szkic na świstku papieru. Powiedziałem, że mam.

Skręciliśmy w boczną drogę na lewo. Objął nas cień. Bryczka podskakiwała na korzeniach, to znów piasek skwierczał pod kołami i sypał się, sucho szeleszcząc, z żelaznych obręczy. Potem za zakrętem szeregi drzew odłożyły się prostą linią na prawo i pełna słońca zielona polana wystąpiła nagle przed same oczy, jak głęboka scena w teatrze zza rozsuwającej się kurtyny. Z boku, schowane kadłubami pod niskie gałęzie kaliny, stały dwie zgarbione RWD-y i wypięta piersią na przód "jedenastka."

Poszedłem obejrzeć teren do startu. Był dość równy, choć kiedyś szły tu wpoprzek zagony uprawnego pola, teraz ledwie widoczne pod trawą. U przeciwległego końca pod lasem biegł wilgotny rów pełen niezapominajek. Pachniało tam miętą i roje motyli unosiły się nad kwiatami.

Wróciłem, płosząc zgraje koników polnych, które tryskały mi spod nóg i zapadały w łąkę. Przywitałem się z tymi dwoma pilotami rezerwy. Obaj mnie znali, ale ja nie pamiętałem ich nazwisk. Jeden był starszy, podporucznik, pilot pewnie jeszcze z poprzedniej wojny. Zauważyłem, że trochę kuleje. Żołnierski mundur z krzywo przyszytymi gwiazdkami wisiał na nim jak na drągu. Włosy miał dawno niestrzyżone i w ogóle wyglądał jak strach na wróble. Drugi—młodziutki chłopak, może 18-to lub 19-to letni, chyba świeżo wyszkolony w jakimś aeroklubie; kapral. Zaczerwienił się jak panienka i niezręcznie wyjąkał, że jest szczęśliwy, iż poleci pod moim dowództwem.

Wzruszyłem ramionami:

—Także mi lot!—a on się jeszcze bardziej zmieszał.

Podporucznik już siedział w swojej maszynie i niecierpliwie spoglądał ku nam.

Zawołałem go z powrotem:

—Co się panu tak śpieszy? Mapę pan ma?

Żaden z nich mapy nie miał i żaden nie znał drogi, więc kazałem kapralowi przerysować mój szkic, a potem dałem go temu drugiemu i powiedziałem im, jaki jest kurs. Sam zostałem bez szkicu, ale pamiętałem go dokładnie.

Umówiliśmy się, że oni wystartują razem, przede mną, a ja ich potem dogonię. W drodze mają lecieć według kursu busoli, możliwie nisko; ja będę się kręcił między nimi wyżej.

—W razie czego wyrywajcie nad samą ziemią, nie oglądając się na mnie, bo i tak nic byście mi pomóc nie mogli—dodałem na zakończenie.

Mechanik, starszy podoficer, krępy i krzepki, o twarzy czerwonej, zarośniętej ostrą ryżawą szczeciną, już kręcił śmigło przy maszynie podporucznika. Śpieszył się. Widać było, że chciał z tym skończyć i wynieść się stąd jak najprędzej. Przerzucał śmigło, jakby ze złością, wprawnie i szybko przez kompresję i chwytał je zanim następna zdążyła je odrzucić: raz-dwa, raz-dwa. . . .

W ciszy słychać było uderzenia gładkiej drewnianej krawędzi o jego muskularną dłoń, lekki szczęk zaworów i ciche westchnienia tłoków. Stał rozkraczony przed silnikiem, nieco w prawo, i zrywał wyciągnięte ramię krótkimi szarpnięciami całego tułowia, podczas gdy podporucznik gramolił się do gondoli i zapinał pasy.

—Mały gaz!—warknął nagle, nie przestając kręcić.

—Mały gaz—odpowiedział podporucznik przez nos.

Benzyna kapała spod maski. Sierżant po raz ostatni rzucił śmigłem i odstąpił dwa kroki w tył:

—Wolny!

—Wolny—twarz pilota ukazała się z za odwietrznika i znikła.

Zachrobotał rozrusznik. Jedna, dwie, trzy sekundy. . . . Śmigło zawahało się—skoczyło z bluzgiem błękitnego dymu, silnik zagdakał.

Mechanik skinął głową:

—No—przecież!—i podszedł do drugiej maszyny.

Różowy kapral z aeroklubu siedział wysoko na zwiniętym spadochronie w cierpliwym oczekiwaniu.

—Gdzie się pan szkolił?—spytałem.

Spojrzał na mnie zdziwiony i zarumienił się.

—W Krakowie, panie kapitanie. Przecież pan . . . przecież ja . . . Widywałem pana codziennie i. . . .

—Aha, pamiętam—skłamałem. Dużo pan wylatał godzin w tej kampanii?

Powiedział, że tylko sześć i to na RWD.

—Żeby tak mieć na niej karabin maszynowy!—westchnął.

—Dużo by pan zrobił tym karabinem—mruknąłem.

—Zawsze inaczej by się leciało—odrzekł nieśmiało.—Można by się było bić. . . .

—Na RWD—przeciw Heinklom i Messerschmittom — poddałem ironicznie.—Pan myśli, że wystarczy mieć karabin maszynowy, żeby zestrzelić Niemca? Podejdzie panu pod celownik i zaczeka, co? Niech pan lepiej uważa, żeby pana nie podstrzeliła nasza artyleria z ziemi.

—Wolny! zawołał sierżant.

—Wolny — odpowiedział chłopak.

Silnik ruszył. Nachyliłem się nad gondolą i powiedziałem jeszcze:

—Zaczekajcie, aż dam znak.

Skinął głową, a ja wziąłem pod ramię mechanika i odszedłem do "jedenastki," przy której stali inżynierowie. Jeden z nich podał mi spadochron. Drugi—licho wie poco—przydźwigał z pobliskiego sągu i podłożył pod koła dwa sosnowe polana.

—Do próby silnika!—odkrzyknął na mój protestujący gest.

Silnik już pracował. Miałem hamulce i podkładanie polan było zupełnie zbyteczne. Zagrzałem motor na wolnych obrotach, poczem dałem pełny gaz.

Niemal w tej samej chwili mechanik zamachał rękami i wskazał wyciągniętym ramieniem na niebo. Wszyscy trzej coś krzyczeli, czego oczywiście nie mogłem dosłyszeć. Obejrzałem się z trudem. Nad polaną, wysoko w słońcu płynęły trzy dziewiątki srebrzystych bombowców, ledwie widoczne w mlecznym błękicie.

Zmniejszyłem obroty i czekałem, aż przejdą. Potem dałem znak obu pilotom, żeby podkołowali do startu. Wysunęli się z krzaków. Kapral zatrzymał swoją maszynę tuż za drogą, u skraja polany, tak jak kazałem; ale podporucznik kołował dalej.

—Po jaką cholerę?!—krzyknąłem głośno, wskazując go inżynierom.—Zatrzymajcie go!

Jeden z nich pobiegł na przód. Jednocześnie zaś kapral, opacznie pojąwszy moje gesty, dodał gazu i uniósłszy ogon zaczął startować. Widząc to—podporucznik też dał pełny gaz.

Zdążyłem jeszcze pomyśleć, że mam pod kołami owe polana, trzymające mnie w miejscu i właśnie obejrzałem się na mechanika, żeby mu je kazać wyjąć, gdy usłyszałem nad głową świst.

Znałem go dobrze. Od razu zrozumiałem skąd pochodzi. Zresztą, jeślibym miał jakieś wątpliwości, rozproszyłby je suchy trel karabinów maszynowych. Nie patrzyłem więc w górę, skąd nurkowała trójka Messerschmittów trzepiąc długimi seriami po całej polanie, tylko szukałem wzrokiem sierżanta. Ale ani jego, ani żadnego z inżynierów już nie było.

Porwałem się z kabiny, zapomniawszy rozpiąć pasy. Przytrzymały mnie przez sekundę. Zwolniłem zatrzask, zdarłem z ramion szelki spadochronu i mocując się z karabinczykami przy taśmach u bioder, spojrzałem przed siebie.

Podporucznik ciągnął maszynę tuż nad drzewami i wyrywał na prawo, niewidoczny zapewne z góry. Kapral też był już w powietrzu, ale o dobre 200 metrów za nim, nad środkiem polany. Pierwszy klucz Messerschmittów podrywał się po ataku i wykręcał na lewo. Drugi właśnie spadał z góry prosto na łatwą, bezbronną zdobycz. Zawył pędem, zaterkotał ogniem maszynowym, aż dreszcz przeszedł po trawie, a tu i ówdzie trysnęło piaskiem.

Kapral leciał dalej. Prali dokoła niego zdumiewająco gęsto i pudłowali haniebnie, podczas gdy ja zdążyłem wyskoczyć na ziemię i wyrwać spod kół sosnowe kłody.

Myślałem, że mu się uda, ale gdym już ruszał do startu, nie zapiąwszy pasów i wyrzuciwszy precz spadochron—trzeci klucz go wykończył: maszyna złamała nagle linię lotu i runęła łbem na dół pod sam skraj lasu. Gnałem przez drobne, zarosłe darnią zagony, kiedy buchnął z niej ogień.

Tymczasem pierwsza trójka Niemców zawróciła i szła na mnie. Widziałem, że źle mierzą, bo ich pociski siekły ziemię daleko przede mną, a niektóre serie trzepotały się w czubach sosen, szyjąc gęstym ściegiem las pod drugiej stronie polany. (Może zresztą umyślnie prali do palącej się tam RWD-y.) Dość, że byłem prawie pewien, iż uda mi się wystartować mimo ich ognia.

Poczułem, jak maszyna wychodzi w powietrze, ale nie zwalniałem steru, aby nabrać jak największej szybkości przed zawrotem. Wiedziałem, że muszę ją poderwać nagle i rzucić wprost pod nich, żeby mnie nie zrąbali od razu, a—o ile się da—żeby zaraz samemu ostrzelać ich przy tym zawrocie.

Czerwone pnie sosen, ociekające słońcem, pędziły na moje spotkanie. Jeszcze chwila, jeszcze sekunda, a ściągnę okrągłym ruchem ster i maszyna stanie dęba nad tymi sosnami, aby zaraz zwichnąć łuk pętli w półbeczce wymierzonej prosto pod kadłuby trzech nurkujących Messerschmittów. Wtedy nacisnę spust i—czułem to—trafię!

Wciągam głęboko powietrze:

—Już!

W tej samej chwili—nie: na jakiś drobny ułamek sekundy przed tym—mój silnik oszalał. Chrupnęło w nim coś, trzasło i nagle rozniosło go w drobny mak wraz ze szkłem odwietrznika przed moją twarzą.

Samolot targnął się w dół, omal nie wyrżnął kołami o ziemię, uciekł w lewo, zaciążył ogonem, sflaczał w sterach i wparł się brzuchem w płytką przestrzeń przede mną. Sosnowe pnie zamknęły mu drogę tuż blisko, a on miał jeszcze cały pęd startu, choć już był niemal bezwładny.

To, że jakaś seria z niemieckich karabinów maszynowych rozsadziła mi wszystkie cylindry i po prostu rozcięła silnik na dwoje—zrozumiałem dopiero później. Teraz nie miałem czasu na myślenie. Uratował mnie instynkt, bo chyba tylko instynkt tak błyskawicznie może wzbudzić odruchy mięśni.

—Prawa noga, lewa lotka!

Z pewnością zrobiłem to prędzej, niż zdołałbym pomyśleć. W każdym razie dość prędko, aby rzucić maszynę w trawers, lewym skrzydłem między sosny.

Gruchnęła ogonem o pień, aż mi wyrwało drążek sterowy z ręki, trzasnęła skrzydłem po konarach i całym ciężarem wpadła w otwarte ramiona olbrzymiego świerku, który szasnął się w tył z chrupotem łamanych gałęzi.

Pokrwawiony i posiniaczony, na czworakach wylazłem z gondoli. Było mi słabo. Serce waliło gdzieś aż w gardle. Zdawało mi się, że nie zdołam wstać. Ale wstałem bardzo prędko. Raczej—zerwałem się na nogi i klucząc od drzewa do drzewa, popędziłem w las, jak zając. Bo oto z góry zagrzechotały nowe serie Messerschmittów. . . .

Gałązki świerków i sosen sypnęły się gęstym deszczem. Pociski zastukały po pniach, jakby kto kijem tłukł po czaszce; tu i ówdzie cyknęły w piasek pokryty igliwiem, aż z ziemi uniosły się wątłe pasemka dymu i zatlił się chrust.

Siekli tak w skraj lasu dobre dziesięć minut, ja zaś, przycupnięty za wykrotem, czekałem kiedy mnie wymacają. Raz i drugi zabębniło po trupie mojej nieszczęsnej "jedenastki." Raz i drugi zakurzyło próchno przede mną, aż wreszcie ucichło.

Zapaliłem papierosa i obolały, ale już spokojny, wyszedłem z lasu na polanę. RWD dopalała się nad zwęglonym ciałem różowego kaprala. Ptaki zaczęły znów świerkać i pogwizdywać. Wielki "paź królowej" jak płatek wielobarwnej mozajki usiadł na niezapominajkach i złożywszy skrzydła przebierał włochatymi nóżkami. Odezwały się koniki polne. Zielono-brunatna żaba spojrzała na mnie pytająco topazowymi oczyma. . . . Wtem powiał leciutki wietrzyk i owionął mnie mdłym swędem spalonego mięsa.

—Brrr . . . Cóż za okropna woń!

Odwróciłem się i poszedłem do mojej maszyny. Nawet nie bardzo była połamana. Tylko silnik, rozwalony zupełnie, rzygał czarną oliwą i benzyna kapała jeszcze z przewodów, poskręcanych jak jelita w konwulsjach.

—Nie dostaną jej Niemcy—pomyślałem i zapaliłem zapalniczkę.

Ogień buchnął od razu i objął stary świerk, który mnie uratował, amortyzując uderzenie.

Wróciłem do rowu na polanie i narwałem niezapominajek. Jeden pęk rzuciłem w ogień "jedenastce"; drugi—kapralowi i jego maszynie.

Nie zapomnę. . . .

Herbert

Z kampanii brytyjskiej

Nad Berlinem

Cel—Dworzec kolejowy na placu Aleksandra. Nalot z kierunku. . . . Parę dodatkowych słów, obrazujących sytuację ziemną i powietrzną.

Załogi rozchodzą się do prac przygotowawczych. Wyczuwa się nastrój świąteczny. Powaga, skupienie i zaciętość, malują się na twarzach.

Spełniają się marzenia bombardierów. Jest wreszcie możność oddać z nawiązką. Za każdą bombę w Warszawie, Londynie, Belgradzie. Niech odczują na własnej skórze rozpętaną krwawą zawieruchę.

Sala nawigacyjna. Olbrzymie płachty map w różnych podziałkach. Na stole duży plan Berlina. Wokół z błyskiem w oczach skupione załogi. Omawianie. Rady. Wskazówki. No i naturalnie polski humor. Chłopaki zdjęli mundury—gorąco w sali.

"Tu "Unter den Linden" tu Kancelaria Hitlera, tu Friedrich Str. Tiergarten."—"Uważajcie na cele, szkoda bomb." Krótki wypoczynek: rozdanie termosów z gorącym płynem, paczek żywnościowych i jazda do samolotów, które muszą być dokładnie przejrzane. Mechanicy dodatkowo czulej obsługują samoloty. Sercem i myślami z załogą, z lotem, z Berlinem, z Polską.

Lotnisko przybrało charakter poważny, w szarudze zapadającego zmroku czernią się olbrzymie cielska samolotów gotowych na Berlin. Dodatkowe zbiorniki benzyny, pełny ładunek bomb, zapalających i kruszących. Odczuwa się, że spęczniały cielska maszyn, że są dumne i zadowolone z nakazanego zadania.

Wreszcie start. Sunie jedna, druga, trzecia i.t.d. aż do ostatniej, przewidzianej. Toczą się po lotnisku powoli—nabierają rozpędu i wreszcie na pełnym gazie odrywają się od ziemi, niknąc w bardzo ciemnej nocy.

Rozpoczęło się. Nic teraz nie stoi na przeszkodzie w wykonaniu lotu. Nie będzie odwołania, zmiany celu, złych warunków. Nasi z drogi nie zawrócą. Aby tylko wszyscy wrócili. Lot jest ciężki—600 mil w jedną stronę. Po drodze nieprzyjaciel. Wiara w sprawiedliwość duża. Krzywdy narodów wołają o zemstę. Wykonamy ją w sercu Niemiec. Dziś pod polskim godłem do Berlina, a bomby nasze dobrze zostaną umieszczone w celu.

Lot przez Morze Północne bez wrażeń. Tyle już razy tą trasą załogi nawracały. Brzeg—trochę "wrzasku" z ziemi. Parę reflektorów nerwowo przecinających powietrze. Dalej — rzygające ognie na różnych wysokościach. Wreszcie—Niemcy.

Zaczyna się piekło. Zajadłe strzelanie artylerii. Setki pocisków rozrywają się wokół samolotu. Niezliczona ilość reflektorów otacza go. Ogień artyleryjski wzmaga się. W pobliżu cel. Leci się w morzu ognia szrapneli i pojawiających się ze wszystkich stron obłoczków ciężkiej artylerii. Reflektory co raz natarczywiej łapią. . . . W samolocie widniej, niż w dzień. Jeszcze dziesięć minut, jeszcze pięć. Samolot wykonuje skręt i dostojnie wchodzi na kurs bojowy. Nerwy napięte. Załogi spokojne. W oczach zawziętość.

Strzelają dość celnie. Berlin wygaszony—żadnego ognia. Nie chcą się zdradzić.

Jest. Jest. Ciemna plama, dużo parków i rozlanych wkoło jezior. Zidentyfikowanie celu i cały ładunek bomb kruszących i zapalających—wyrzucony. Grzeje do załóg artyleria pełną parą. Piekło w powietrzu. Lecz teraz już po fakcie. Uczucie dumy i spełnionych tęsknot.

Teraz, aby wrócić, aby nic nie stanęło na przeszkodzie, dotrzeć do bazy. 600 mil z powrotem. . . . . a Polska tak blisko. . . . 150 klm.—nie cała godzina lotu . . . Poznań . . . później Warszawa i . . . swoi . . . tak nam w sercach bliscy. Smutek w duszach załóg, patrzących w stronę Polski, pięści zaciskają się mocniej. . . .

To za Was mścimy się. Wytrwajcie — Pomścimy. Wrócimy.

M. D.

Z życia obozów

Wiosenne wędrówki "Lwowskiej Fali"

GRAMY W SZPITALACH

Kalendarzowa zima panowała jeszcze nad Szkocją, ale słońce grzało już całkiem wiosennie, a przydrożne krzewy tu i ówdzie okryte już były pączkami, gdy w niedzielne popołudnie "Lwowska Fala" wylądowała pod pięknym zamkiem, mieszczącym obecnie szpital wojskowy nr. 1. Po odwiedzeniu zdrowych żołnierzy w oddziałach, trzeba było z kolei i chorym zaśpiewać. Jako miejsce tego śpiewania wybrano dużą komnatę, dokąd sprowadzono i zniesiono—napracowały się dzielne siostry-sanitariuszki—wszystkich pacjentów, którym tylko stan zdrowia pozwalał na wzięcie udziału w przedstawieniu. Poza tym przybył cały personel lekarsko-sanitarny. Najlepsze miejsca wyznaczono rannym z kampanii norweskiej, których kilku jeszcze w szpitalu przebywa, a zresztą ulokował się każdy i każda, jak kto mógł.

Przedstawienie poszło bardzo składnie, a chorzy zapomniawszy na chwilę o swoich dolegliwościach, bili brawo jak zdrowi; szczególną wesołość wywołał jednak satyryczny skecz: "Izba chorych." Zaśmiewało się bractwo i w innych oddziałach z przygód zdrowego strzelca Makutry, któremu skwapliwie przepłukano żołądek i wyłuskano migdałki właśnie na izbie chorych, gdzie zwykłym zabiegiem jest tylko udzielanie "zwolnienia od zajęć" i to w niewielkich rozmiarach. Jakże tu jednak grać taką złośliwość w doskonale zorganizowanym szpitalu, przed całym sanhedrynem chirurgów, internistów, roentgenologów, z których wielu ma—jak twierdzili cudem poskładani i zreperowani pacjenci "złote ręce"? Zagraliśmy jednak, choć z niejaką obawą. To też nasz kierownik artystyczny grający rolę lekarza zerkał czasem spod scenicznych okularów w ten kąt sali, gdzie siedziały największe powagi medyczne, ale śmiech zawładnął całą widownią i nikt się nie obraził w szpitalu, tak jak żaden z lekarzy w oddziałach nie czuł się dotknięty.



Zespół "Lwowskiej Fali" w rewii "Do góry kciuk"

W kilka dni później pojechaliśmy do drugiego szpitala polskiego, umieszczonego w innym, równie okazałym budynku. Tym razem trzeba było grać na sali, gdzie leżeli chorzy. Ustawiono tedy dwa małe parawaniki, które musiały zastąpić nieistniejącą garderobę, a niewielka przestrzeń pomiędzy nimi miała stanowić "scenę." Z programem także było nieco kłopotu; trzeba go było układać specjalnie, gdyż na sali znajdowali się nie tylko ozdrowieńcy, ale i ciężej chorzy, którym wzruszenie mogło by zaszkodzić. Usunięto więc "numery" nastrojowe i poważne, a natomiast wzmocniono normalną dawkę humoru, który dobrze działa na wyczerpany organizm. Graliśmy tego dnia ostrożniej, bardziej kameralnie, ale kiedy w ciągu przedstawienia jeden i drugi refren piosenki podchwycili chorzy, rozśpiewała się i scena i widownia raźno i wesoło.

MARYNARZE

Jedną z następnych imprez "Lwowskiej Fali" był "wypad" do marynarzy. Występ odbył się na odmianę w town-hallu z "prawdziwą" sceną. Przywykli do widowni koloru khaki patrzyliśmy z lekką tremą na salę, wypełnioną granatowo-czarnym ludem; jaśniejszą plamę tworzyły tylko szarobłękitne mundury lotników. Czy spodoba się nasz program ludziom z "Burzy" i "Błyskawicy"—oto było pytanie. Liczyliśmy jednak trochę na zaprzyjaźniony dywizjon lotniczy, w którym służyło dużo lwowskich znajomków. Spodziewaliśmy się, że ci nas nie zawiodą i we właściwej chwili uśmiechem i oklaskami podeprzeć nie omieszkają.

Obawy nasze rozproszył doszczętnie . . . gwizd potężny, którym przywitano zespół wychodzący na scenę. Kiedyś dawniej, w początkach naszej angielskiej kariery, była by nas taka oryginalna owacja zmiotła za kulisy, ale teraz świadomi teatralnych obyczajów tubylczych, wiedzieliśmy, że gwizd nie oznacza niezadowolenia. Z ulgą przyjęliśmy te brawa dane na kredyt i śmiało zaczęliśmy przedstawienie. Gwizdano jeszcze dużo tego dnia, a nastrój wytworzył się taki, że przedstawienie to zaliczamy do najmilszych w naszej pracy na emigracji.

W czasie przerwy kilkunastu widzów przyszło na pogwarkę za kulisy, któryś z kolegów nawet krajana z wioski rodzinnej odnalazł i potoczyły się rozmowy o podróżach dawnych i przygodach ciągle nowych, o rejsach dalekich a niebezpiecznych.

Słuchaliśmy wszystkiego z uwagą największą: opowiadającymi byli przecież ludzie, którzy od krwawego września aż do chwili obecnej ani na chwilę nie przerwali walki z nieprzyjacielem, nie utracili bezpośredniej łączności z Ojczyzną, mając stale pod stopani pokłady okrętów Rzeczypospolitej.

W POLSKIM GIMNAZJUM

Droga do gimnazjum polskiego jest długa, ale bardzo ciekawa. Krajobraz w tej części Szkocji jest uroczy: spore, ośnieżone jeszcze wzgórza, rzeczki, płynące skalistymi wąwozami, ostre serpentyny szosy. Zakład zagospodarował się w zamku, nad jeziorem, w górskim zaciszu. Naprzeciw gmachu wznosi się okazała "Góra czarownic," w pobliżu znajduje się jaskinia w której ukrywał się opiewany przez Walter Scotta Rob Roy, szkocki krewniak polskiego Jacka Soplicy.



Na progu gimnazjum polskiego

Uczniów liczy gimnazjum i liceum około setki, a 80% całego "stanu" to czasowo urlopowani żołnierze, którzy kończą i uzupełniają studia. Pełno w tym osobliwym gimnazjum młodzieńców w beretach podhalańskich, na mundurach widzi się oznaki różnych rodzajów broni. Zasadzono i "wyższe rangi" do książki: są panowie starsi strzelcy, są i gołowąsi kaprale-podchorążowie. Z początku czuli się podobno nieswojo w szkole, od której zdążyli już odwyknąć. Jakże to? Poważni dowódcy drużyn, weterani kampanii francuskiej zdegradowani do rzędu sztubaków? Są przecież między nimi i tacy, którzy i w walkach wrześniowych, przeważnie jako ochotnicy członkowie P.W. brali udział zaszczytny. I naraz w czasie trwania wojny odkomenderowanie do szkoły! Ale żołnierze - uczniowie rozumieją dobrze, że chwile czekania należy jak najlepiej wyzyskać i pogłębiać wykształcenie ogólne i wojskowe. To też pracują z zapałem, zachęcani przez grono nauczycielskie, złożone także z żołnierzy.

A już specjalnym przykładem pilności świeci pewien marynarz, noszący z dumą swoich lat 23, przez młokosów "tatą" nazywany. Ów "tata" przywiózł ze swego okrętu pełną walizę książek polskich, skarb bezcenny w początkach organizowania życia gimnazjum, studiuje też arcypilnie i czyta niemal bez wytchnienia. Ofiarował się nawet wychowawcom z osobliwą pomocą: jako człowiek fachowy wyraził gotowość zboksowania każdego leniucha i obijacza, gdyby się taki naturalnie znalazł na terenie zakładu. Za kilka tygodni, po maturze większość uczniów wróci do oddziałów, a część cywilów młodych wdzieje mundur żołnierski i jako rekrucka gromada pójdzie pod komendę starszych kolegów.

Przedstawienie odbyło się w świetlicy gimnazjalnej z udziałem całej załogi zamkowej i garści szkockich przyjaciół. Wszyscy bawili się doskonale.

S/S. "PUŁASKI"

Dokładnie na "prima aprilis" zapowiedziany był nasz występ na "Pułaskim." Stara, sfatygowana krypa, niezmiernie podobna do tych, które w dobrych czasach woziły ludzi Wisłą na Bielany, wyrzuciła nas w małej przystani, gdzie czekała już motorówka przyozdobiona banderą. Po raz pierwszy od chwili opuszczenia kraju płynęliśmy pod polską flagą po szkockim morzu. Jazda nie była długa. Okrążywszy dalekim łukiem "wodujące" "Sunderlandy," podobne do olbrzymich, zielonych koników polnych, wjechaliśmy do zatoki, w której stał na kotwicy "Pułaski." Szanowny weteran linii Gdynia—Ameryka pomalowany na kolor ochronny i uzbrojony przedstawiał się doskonale. Na przodzie okrętu powiewała z daleka widoczna bandera.

Motorówka podjechała do burty i zaczynaliśmy się właśnie gramolić z artystycznymi manatkami na strome schodki, gdy z górnego pokładu padło donośne: "Jak si maci batiary?" Ton i akcent nie pozostawiał żadnej wątpliwości co do osoby autora tego powitania. A myśmy właśnie przed chwilą debatowali nad tym, czy też znajdziemy na statku jakiegoś swojaka z naszego bardzo lądowego, ale niezastąpionego miasta! Za chwilę już ściskał nas lwowski marynarz, spotkany już zresztą kiedyś na tułaczce w Rumunii czy Francji.



Na pokładzie polskiego statku handlowego

Kapitan i cała załoga powitali nas także bardzo serdecznie. Co tu dużo mówić. Na tym statku, gdzie co krok spotykało się polskie napisy, jeszcze w Gdyni robione, czuliśmy się jak w domu, jakby nas szczęśliwy wiatr zaniósł ze Szkocji pod polski dach. Ponieważ do rozpoczęcia przedstawienia było jeszcze sporo czasu, rozpełzło się bractwo po okręcie, a miniaturowa szara małpka-maskotka skakała z piskiem po głowach przybyszów, co zdaniem marynarzy, było cennym dowodem sympatii.

Tymczasem w jadalni, jedynym większym pomieszczeniu na okręcie, prowadzono pod kierunkiem naszego kolegi-inspicjenta systematyczne dzieło zniszczenia odkręcając przyśrubowane misternie krzesła, usuwając ciężkie stoły. Nie upłynęła godzina od chwili rozpoczęcia pracy, a już urządzono piękną scenę i nawet jakaś imitacja kurtyny się znalazła. Tylko pianina nie było, ale braku tego sprzętu nie można już było zastąpić i trzeba było całe przedstawienie oprzeć na akompaniamencie harmonii; to też "odnośny" kolega napracował się, jak jeszcze nigdy.

Niezapomniane to było przedstawienie. Wieczorem cała załoga z oficerami zgromadziła się w świetlicy, przybył także oddział żołnierzy szkockich ze swoimi dowódcami. Gorąco uczyniło się w sali, ale było i przyjemnie. Program trzeba było uzupełniać, ponieważ okazało się, że naszych dawnych, wycofanych już z obiegu "numerów" nie widzieli ci marynarze. Więc nie żałowaliśmy, a widownia przyjmowała wszystko tak serdecznie, że przedstawienie ciągnęło się bardzo długo. Nie można było również zapomnieć o obecności Szkotów, więc i dla nich śpiewano i grano popularne melodie ludowe i taneczne, co wywoływało symfonię entuzjastycznego gwizdania.

Było już niedaleko północy, kiedy skończyło się przedstawienie. Mimo zmęczenia nie chciało się nam spać, ponieważ przy herbacie znowu snuły się opowiadania: o ucieczce statku spod Dakaru z "zaprzyjaźnionego" portu francuskiego, po kapitulacji Francji. Goniły wtedy "Pułaskiego" salwy bateryj nadbrzeżnych, ale nie dogoniły. Wspominano bohaterski zgon "Chrobrego" pod Narvik, z którego część załogi pływa obecnie na "Pułaskim." Dowiedzieliśmy się o tym, że duch wśród załogi jest niezwykle silny, że obsady polskich okrętów handlowych z własnych oszczędności i oszczędności firmy zakupują nowy statek 5.000 tonowy, który będzie pływał pod białoczerwoną banderą i wiele jeszcze innych, ciekawych i nieznanych lądowym ludziom rzeczy.

Na drugi dzień wypadło nam pożegnać dzielnych i serdecznych marynarzy. Nie chciało się nam odjeżdżać z tego polskiego okrętu od tych ludzi gościnnych. Ale czas naglił. Znowu wsiedliśmy w motorówkę. Podniosły się okrzyki z pokładu, wspólnie zaśpiewaliśmy: "Wrócimy" i łódź odbiła od burty. Wiatr dął tego dnia i fala była dość duża, to też nasi gospodarze mieli trudu niemało zanim wysadzili nas na ląd. Deszczowa chmura nadciągnęła właśnie i statek zniknął nam z oczu. Pozostało wspomnienie niezapomnianej wizyty i chęć nowego spotkania, skoro tylko pomyślne wiatry znowu przywieją "Pułaskiego" do brzegów szkockich.

Ludwik Bojczuk
fotografie Józefa Wieszczka

Dobra propaganda

"Gdzieś w Anglii"—w marcu 1940 r. w Obozie Lotników Polskich, powstał pierwszy chór męski, który za cel wytknął sobie propagowanie naszej pieśni wśród gospodarzy.

Start nastąpił po kilkunastu próbach—na pierwszej rewii polskiej zorganizowanej na terenie Obozu.

Od tej chwili opinia angielska coraz częściej mówiła o "śpiewających lotnikach" a oni śpiewając mówili jej o Polsce.

Po Obozie rozeszła się wieść, że chór dostał zaproszenie na występ w B.B.C. Nie będę mówił o gorliwości, z jaką przygotowywano się do tego śpiewania; nie będę mówił o sympatii, jaką zaczęli się cieszyć "chórowicze" w oczach kolegów; powiem natomiast, że zaśpiewali dobrze, a mikrofon bardzo czuły i do wysokiej klasy wykonawców przyzwyczajony—wytrzymał.

Po tym występie i po kilku jeszcze koncertach dla publiczności angielskiej, całe bractwo "rozjechało się" "koncertować" dla publiczności niemieckiej—akordami detonacji i dla lotników niemieckich—śpiewem cekaemów i działek. Wszyscy prawie poszli do jednostek bojowych—śpiewanie w tym zespole, wraz z teoretycznym szkoleniem—zostało ukończone.

Po klęsce francuskiej, przybyli tu lotnicy polscy z Francji i okres wyczekiwania na przydziały też wykorzystali na zorganizowanie m.in. chóru. Może "Cała Polska Śpiewa" z audycji prof. Rutkowskiego weszła tak Polakom w krew, że w chwilach ciężkich, szukają ukojenia właśnie w pieśni. A może dlatego, by pieśnią zbliżyć się do swoich . . . przypomnieć . . . trwać. Nie wiem, dlaczego?

To nie jest jednak najważniejsze. Najważniejszy jest upór z jakim lotnicy kontynuują rozpoczętą w marcu 1940 r. akcję:—z polską pieśnią do angielskich serc. Stale ktoś odchodzi do eskadry szkolnej lub bojowej—chór jednak stale się dokompletowuje i nie przestaje istnieć.

Owoce pracy chóru, to szereg występów na cele dobroczynne społeczeństwa angielskiego, to stały udział chóru w koncertach mieszanych polsko-angielskich. Chór Polskich Lotników gościł w szeregu miast Anglii i każda zapowiedź występu, wywołuje burzliwe oklaski zawsze licznie zebranej publiczności. W programie są piękne melodie Moniuszki, Kazury, Karłowicza i t.p.

To, że chór mimo wszelkie trudności istnieje, jest przede wszystkim zasługą jego członków, którzy się rekrutują z podoficerów i szeregowych.

Im więc należy się na tym miejscu serdeczna pochwała i pełne uznanie za robienie d o b r e j p r o p a g a n d y !

m. p.

Wojna na morzu

Kiedy Niemcy kłamią, nadmiernie już przesadzając, można być zadowolonym. Oznacza to bowiem, że na "przełganym odcinku" dzieje się coś nie bardzo po myśli niemieckiej. Niedawno samoloty niemieckie zrzuciły na Londyn w nocy ulotki grożące Anglii głodem, "ponieważ Niemcy zatapiają Brytyjczykom ponad 1.000.000 tonn miesięcznie". Tymczasem premier Churchill oświadczył, że "miesiąc maj należy do najlepszych w bitwie o Atlantyk", a wiele na to wskazuje, że jest tak istotnie.

Z jednej strony wzrasta ilość zatapianych niemieckich okrętów podwodnych, a zmiana systemu konwojowania, możliwa dzięki pomocy amerykańskiej, zmniejsza ilość statków straconych. Z drugiej strony Amerykanie energiczniej, niż dotychczas wzięli się do efektywnej pomocy. Około 1.000.000 tonn statków amerykańskich ma być niebawem przekazane Wielkiej Brytanii, a zarekwirowane statki niemieckie, francuskie i duńskie służą już sprawie Sprzymierzonych. Niedawno przepłynął Atlantyk największy konwój w historii, składający się z 50 wielkich transatlantyków. Wszystkie statki, co do jednego, z drogocennym ładunkiem dotarły bezpiecznie do portów brytyjskich.

Toteż Niemcy za wszelką cenę starają się wzmóc swoje siły na Atlantyku Północnym, aby definitywnie przeciąć linię komunikacyjną Ameryka—Wielka Brytania. Ponieważ okręty podwodne i bombowce daleko-dystansowe nie wystarczają i działanie ich, pomimo niewątpliwie początkowych ogromnych strat sprzymierzonych, nie przynosi spodziewanych rezultatów, admiralicja niemiecka zdecydowała się użyć do piraterii (i to do piraterii "kolossal", takiej, jaką zapowiadał "führer") swoich największych i najpotężniejszych okrętów. Pierwsze wypłynęły "Scharnhorst" i "Gneisenau" i dzięki zaskoczeniu udało im się w pierwszych dniach zadać dotkliwe straty. Ale niebawem, ścigane przez Anglików, pędzone z miejsca na miejsce i, co najważniejsze: bez statków pomocniczych z materiałem pędnym i żywnością, zatapianych regularnie i systematycznie przez flotę brytyjską, schroniły się do portu w Breście. Tam ich dopadły samoloty R.A.F. i samoloty Dowództwa Obrony Wybrzeża, konkurując między sobą w nalotach. Według wszelkich danych można przypuszczać, że oba te okręty są unieruchomione na czas dłuższy.

Wówczas na widowni Atlantyku ukazał się okręt "nie do zatopienia" "Bismarck" i krążownik "Prinz Eugen". "Bismarck" poszedł na dno, a "Prinz Eugen" dołączył do "Gneisenau" i "Scharnhorst". Nie można Niemcom odmówić uporu i konsekwencji. W ślad za "Bismarckiem" wypłynął rodzony "braciszek" "Grafa Spee," jeden z "pancerników kieszonkowych" (albo "Lützow", albo "Admirał Scheer"). Już jednak po wyjściu ze Skagerraku, gdy posuwał się wzdłuż wybrzeży Norwegii, wyśledziły go angielskie samoloty typu Blenheim z Dowództwa Obrony Wybrzeża, a niedługo potem samolotowi brytyjskiemu (typu Beaufort) udało się wpakować w okręt celną torpedę. Piloci i obserwatorzy brytyjskich samolotów wyraźnie widzieli ogromny słup dymu, który się podniósł z okrętu. Eskortujące kontrtorpedowce skupiły się wokół niego, a niebawem cała karawana, wolno i ostrożnie, z szybkością nie przekraczającą 10 węzłów ("kieszonkowiec" ma szybkość 26 węzłów), zawróciła i skierowała się na Skagerrak "do domu". Działo się to wszystko wczesnym rankiem 13 czerwca b.r. w 17 dni po zatopieniu "najsilniejszego okrętu liniowego świata."

Jest wielu poważnych ludzi, którym jednak ta uporczywa przeprowadzka wielkich okrętów wydaje się podejrzana. Osobiście przyłączam się do ich podejrzeń. Czyżby rzeczywiście Niemcom chodziło *tylko* o korsarkę? Czy rzeczywiście dla zatopienia, w najlepszym wypadku kilkudziesięciu statków brytyjskich ryzykowaliby tak wielkie okręty i tak świetne, nowoczesne narzędzia bojowe, jak "Bismarck", "Gneisenau", "Scharnhorst", "Admiral Scheer", "Prinz Eugen"? . . . Przecież to cała flota! . . . Czy Niemcom nie chodziło przypadkiem o zupełnie co innego? Bo po co pchaliby się wszyscy właśnie do Brestu, tak narażonego na ataki powietrzne brytyjskie? . . . "Gneisenau" "Scharnhorst", "Prinz Eugen" są już w Breście, a "Bismarck" wyraźnie próbował dotrzeć też do tej bazy. Czy to nie ma związku przypadkiem z celami inwazyjnymi? . . . Albo Gibraltar? . . . Przy odrobinie wyobraźni można snuć domysły najrozmaitsze. Ale *cokolwiek miało by to na celu*—JUŻ SPALIŁO NA PANEWCE. "Bismarck", który miał być podstawą tej ewentualnej, ryzykownej wyprawy, już zatopiony, "Scharnhorst" i "Gneisenau" uszkodzone poważnie ponad wszelką wątpliwość, "Admiral Scheer" (czy "Lützow" wreszcie!) ledwo uszedł z dziurą w boku i nieprędko sią wyliże. Powoli zamyka się i ta strona ciekawej i żmudnej "Bitwy o Atlantyk".

Tymczasem na Morzu Śródziemnym, pomimo upadku Krety, zmagania nie ustają ani na chwilę. Gdy na lądzie Sprzymierzeni zajmują Syrię, którą Vichy oddawało powoli Niemcom, na morzu trwa nadal energiczna działalność Floty. Przed operacją syryjską zaminowała ona wybrzeża, a obecnie, posuwając się równolegle do wojska na lądzie, wspiera je ogniem dział, lub, jak to było pod Tyrem, wysadza desanty piechoty morskiej na ląd. Jednocześnie bacznie patroluje całe wybrzeże, bo interwencja niemiecka może być spodziewana lada chwila.

Niezwykle czynne w ostatnich czasach były brytyjskie okręty podwodne, zatapiając kilkanaście statków włoskich wzdłuż wybrzeży Tunisu, Libii i przy wyspach Dodekanezu. Pomiędzy tymi statkami znalazły się niektóre przekraczające 10.000 tonn, kilka "tanków" z benzyną dla czołgów niemieckich i kilka statków z wojskiem.

Z drugiej strony Anglicy ponieśli pewne straty z pośród okrętów "drugiej linii". I tak od bomb lotniczych zginął przy wybrzeżu Libii słynny monitor "Terror," który swego czasu bombardowaniem ze swych 15 calowych dział ułatwił zdobycie Derny. W dniu 12 maja zaś podczas wielkiego nalotu na fortecę Tobruku została zatopiona kanonierka "Ladybird," pamiętna z ataku dokonanego na nią przez samoloty japońskie w r. 1937 na rzece Yang-Tse w Chinach. Oba okręty zginęły w bohaterski sposób, strzelając ze swych dział i pompommów p.l. do ostatniej chwili, gdy "woda wdzierała się do wież," jak raportował dowódca "Terror" komandor H. J. Haynes.

Teraz Admiralicja ostatecznie ogłosiła całość strat morskich podczas obrony i ewakuacji Krety. Są to krążowniki: "Gloucester", "Fidji", "York" i krążownik przeciwlotniczy "Calcutta" oraz 6 kontrtorpedowców. Z całą świadomością piszę o tych stratach, aby wykazać czytelnikom polskim, przyzwyczajonym do komunikatów w Polsce i we Francji, gdzie na papierze wszystko działo się dobrze a dla przeciętnego obywatela "ni stąd ni zowąd" raptem wszystko "brało w łeb", że system przyjęty przez Admiralicję Brytyjską jest zupełnie inny i ma ona dostateczną świadomość potęgi Floty Wielkiej Brytanii, aby sobie pozwalać na PRAWDĘ i to nawet często bolesną prawdę, kiedy trzeba przyznawać się do strat.

Jeśli jednak z morskiego punktu widzenia, jak to już "Polska Walcząca" pisała, należy poważnie uwzględniać zmienione metody walki, powstałe dzięki rozwojowi lotnictwa, to nie ma, jak dotąd z powodu wydarzeń na morzu nie tylko "obaw", ale raczej sytuacja na tym terenie natchnąć nas może zdrowym i rozważnym optymizmem.

Londyn 15 Czerwca 1941.

Bohdan Pawłowicz

Z przygód Felka Czarnobrygadzisty



Od tego się zaczęła historia cała: Felek namawiał Joan, by mu buzi dała.



Więc mu wkońcu uległa, choć wzbraniała zrazu,
Felek kusił tak słodko, a serce nie z głazu . . .



Używa sobie Felek jeden raz i drugi,
Wreszcie kręćka w łeb dostał i grzmotnął jak długi.



Joan w śmiech, Felek zmyty, ze wstydem uchodzi . . .
Za dużo to niezdrowo—we wszystkim zaszkodzi!

Opowiedział i rysował Józef Stojek

Krakowiak o Niemcach

Leci pies przez owies,
ogonem wywija,
widać nie był w Niemczech,
szczęśliwa bestyja,
oj dana!

Bo gdyby był w Niemczech,
już by go zabili,
z jego sadła zaraz
masło by zrobili,
oj dana!

Ogon psi, podobny
często do kiełbasy,
w spiżarni Goeringa
zwiększyłby zapasy,
oj dana!

Poszłyby na szczotkę
kłaki z tego psiska,
by Herr Fuehrer miał czym
przyczesać wąsiska,
oj dana!

"A co dla mnie?" włoski
sojusznik by spytał,
więc Ribbentrop z psiaka
dałby mu jelita,
oj dana!

Włoch uwielbia takie
śmierdzące przysmaki
więc wraz z ich "nadziewką"
zeżarłby psie flaki,
oj dana!

Teraz widzisz, piesku,
jakie szczęście miałeś,
że w kraju Nazistów
nigdy nie mieszkałeś,
oj dana!

Nigdy nikt w paskudztwach
szwabom nie dorówna,
byle w bród mieć broni ...
jedzą psy i g . . . . .
oj dana!

"Wojtek"

(*Z czasopisma humorystycznego z St. Zjed. "Osa"*)

SPIS RZECZY

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej-13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh. 1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh. 3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.6 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices) 415, Oxford Street, W.1. Tel., MAYfair 4973.

Printed for the "Polska Walcząca" by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.